

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT NR 31 (1767) 2-8 sierpnia 2024



nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK



nie@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

Tygodnik NIE

Tygodnik NIE

WOJNA DOMOWA

✦ Igrzyska olimpijskie w Paryżu rozpoczęły się od hysterii: na jednej z barek płynącej po Sekwanie w ramach ceremonii otwarcia znaleźli się „jacyś odmieńcy” – czytają osoby nieheteronormatywne – za długim stołem, a długi stół katolom na całym świecie kojarzy się z „Ostatnią wieczerzą”, ołaboga. A do tego zagrali „Imagine” Johna Lennona, co śmiertelnie oburzyło Przemysława Babiara z TVP, albowiem piosenka prezentuje „świat bez nieba, narodów, religii i to jest wizja tego pokoju, który wszystkich ma ogarnąć; to jest wizja komunizmu, niestety”. Za tę wypowiedź zasłużony ów żurnalista został zawieszony w prawach sprawozdawcy. Naszym zdaniem wszelkie wymierzone w Babiara represje są wybitnie niesprawiedliwe: chłop powiedział prawdę. Ta wizja świata bez wojen, nacjonalizmów i zabobonów rzeczywiście jest wizją komunistyczną. Pierwszy raz się nie udało, ale kiedyś jeszcze taki komunizm zbudujemy. I nawet dla Babiarów będzie w nim miejsce.

✦ Do tego jeszcze, dodając krzywdę do zniewagi, organizatorzy igrzysk kazali polskiej ekipie płynąć na barce bez – uwaga – toalety! Całe dwie i pół godziny! To jest problem tego pokolenia: nie rozumie, że trzeba być twardym, nie mientkim. Jakby chodzili do szkoły w Polsce Ludowej, to potrafiliby obejść się bez kibla od godz. 8.00 do 15.00; bo albo kibel był zatkany, albo śmierdziało tak, że wejść się nie dało. To akurat był jeden z sygnałów, że budowa komunizmu nie postępuje zgodnie z założeniami. Nawiasem mówiąc – Francuzi, przyzwyczajeni, że barka to jednostka pływająca mieszkalna i turystyczna, nie zdają sobie sprawy z jej eschatologicznego wymiaru. Jak ujął to jeden z oburzonych internautów: „Kazali polskiej reprezentacji płynąć barką, żeby poniżyć Polskę i sprofanować ukochaną pieśń Jana Pawła II”. Pytanie: czy gdyby na barce był szracz – byłaby ona sprofanowana bardziej czy mniej?

✦ 80. rocznicę powstania warszawskiego obchodziliśmy jak wiejskie wesele: przez trzy dni. I każdy polityk chciał być ranny – lub choćby powiedzieć, że byłby, gdyby miał okazję. W cieple 200 tys. cywilnych trupów grzali się wszyscy, niezależnie od opcji. Naszą uwagę zwrócił dyrektor Muzeum Powstania Jan Oldakowski, swego czasu radny PiS, który robotę zawdzięcza Lechowi Kaczyńskiemu, ale wie, skąd wiatr wieje. „Chciałbym w tym miejscu przywitać Pana Andrzeja Dudę, prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Witam serdecznie gospodarza stolicy, organizatora obchodów 80. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego, prezydenta miasta stołecznego Warszawy pana Rafała Trzaskowskiego i jego zastępców i zastępczynię”. Trudno oprzeć się wrażeniu, że entuzjazm wobec czcigodnych gości nie został równo rozłożony.

✦ Prezydent Duda, niezrażony chłodnym powitaniem, przedstawił swoją osobistą wizję historiozofii powstania: „Zdarzało się, że różne środowiska poddawały w wątpliwość sens decyzji tamtej walki. I popatrzenie, co się stało: ostatnio już nie słychać żadnych głosów, które próbowałyby kwestionować zasadność, słusność tamtego wielkiego czynu zbrojnego! Wiecie, dlaczego?”. Owszem. Bo militarny bezsens powstania, a także tragiczna niewspółmierność kosztów do możliwych efektów nie podlega już wątpliwości. Nie ma o czym dyskutować. Jak się domyślacie, interpretacja pana prezydenta jest zgola odmienna: „Tak sobie myślałem, idąc tutaj, dlaczego nie słychać już tych głosów, czasem sztycherzy, które tak bolały? Bo w ciągu ostatnich dwóch lat zobaczyli Mariupol zburzony praktycznie do szczytu, a na samym końcu zdobyty przez Rosjan, pod którego gruzami poległ jego obrońcy i którego Ukraińcom do dzisiaj nie dało się odzyskać. I niech ktoś spróbuje powiedzieć Ukrainie, że nie było warto”. ... Mnóstwo ludzi na świecie tak mówi, i to nie tylko po rosyjsku; także w szeregu innych języków, którymi Pan Prezydent nie włada.

✦ Państwowa Komisja Wyborcza z pewnym opóźnieniem przystąpiła do oceniania kampanijnych sprawozdań finansowych. Wszyscy gryźli palce, choć z nadzieją na różny efekt. Obecna władza liczyła, że PKW odbierze PiSowi dotacje i subwencje za to, że pisowski rząd finansował partyjną kampanię na dziesiątki niemoralnych sposobów. To niewątpliwie prawda; problem wszakże w tym, że PKW nie ma prawa badać działań rządu i jego organów; jej kompetencja ogranicza się do kontroli komitetów wyborczych. Wniosek jest taki, że trzeba napisać lepszą i bardziej precyzyjną ordynację wyborczą, która uszczelni kontrolę ze strony PKW i nie pozwoli rządzącym na takie nadużycia. Rzecz w tym, iż taka ustawa – napisana przez rząd Tuska – jako pierwszy na celownik wzięłaby rząd Tuska, więc Tusk się jakoś nie kwapi.

✦ Ustawa o strzelaniu na granicy przeszła przez sejm i senat. „Ta ustawa zwiększa poczucie bezpieczeństwa żołnierzy, niezłomnie broniących granicy Polski i Unii Europejskiej” – ogłosił Władysław Kosiniak-Kamysz, który z doktora nauk medycznych stał się chłopcem z zestawem nowiutkich żołnierzyków. Kosiniak bardzo się cieszy, że ustawa została przyjęta „pomimo uwag części osób”. Do części należeli: komisarz praw człowieka Rady Europy Michael O’Flaherty, rzecznik praw obywatelskich prof. Marcin Wiącek, Helsińska Fundacja Praw Człowieka, Fundacja Batorego, Wolne Sąd, Krakowski Instytut Prawa Kamego. Wszyscy mówili, że sytuacja, w której ludzie w polskim mundurze mogą bezkarnie strzelać do ludzi w niepolskich szmatach, unurzanych w białowieskim błocie, jest nielegalna i niemoralna. Z radością odnotowujemy, że sądziła tak też większość parlamentarzystów lewicy. Acz nie wszyscy. Poseł Treła na przykład „ma zaufanie do polskiego munduru”, bo „wie, jak odpowiedzialny jest polski żołnierz”.

AWŁ

Za tydzień podwójny numer tygodnika „NIE” za podwójną cenę, dający 20 razy więcej radości.

Bronisław Komorowski złożył przysięgę zapisaną w art. 130 konstytucji: „Obejmując z woli Narodu urząd Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, uroczystie przysięgam, że dochowam wierności postanowieniom Konstytucji, będę strzegł niezłomnie godności Narodu, niepodległości i bezpieczeństwa Państwa, a dobro Ojczyzny oraz pomyślność obywateli będą dla mnie zawsze najwyższym nakazem”. Z dodaniem: „Tak mi dopomóż Bóg”.

Jedno zdanie, a zawiera sześć błędów ortograficznych. Słowa „naród”, „prezydent”, „konstytucja”, „państwo” i „ojczyzna” pisze się otóż małą literą. Uwzniesienie tych pojęć dużymi literami jest pretensjonalne, a już szczególnie nazwy własnej posady – prezydenta. Nieudane oczyszczenie swojego biura z krzyża zagradzającego wejście świadczy o tym, że Komorowski będzie prezydentem przez bardzo małe „p”.

Rota przysięgi ma też treść wadliwą. Zamiast zaprzysięgać stosowanie się do przepisów konstytucji, prezydent ślubuje wierność temu aktowi prawnemu. Skopiowana została ta wierność ze ślubnych przyrzeczeń nowożeńców. Pozbawione są one znaczenia przez powszechną i odwieczną praktykę niewierności. Wierność stanowi przy tym cnotę różnie pojmowaną. Jak żona bzyknie się na boku z kimś przypadkowym lub mąż wpadnie do burdelu, wierności to nie uraga. Trwały romans żony z przyjaciółką lub męża z przyjaciółką nie wierność małżeńską nawet wzmacnia. Wierność konstytucji zakłada więc stosowanie się do niej z przymrużeniem oka.

O ile naród ma swoją definicję w ustawie zasadniczej, o tyle ojczyzna stanowi pojęcie pozaprawne i mętne, czyli literackie. Różni ludzie rozmaicie je rozumieją. Ten ma za ojczyznę jakieś terytorium, ów organizm którego państwa, kto inny uważa region, np. Śląsk, za swoją patrię. Poeta powiada zaś „ojczyzna-polszczyzna”, ma więc ona więź z językiem. Emigrant zarobkowy, podobnie jak biznesmen większej skali, mniemają zaś, że gdzie dochód, tam ojczyzna, a wspólny język znajduje w Chinach.

Zamiast obiecać, że się będzie troszczył o pomyślność obywateli, prezydent, przysięgając, jeszcze komplikuje ten i tak pusty frazes. Wiadomo, co to jest nakaz szczepienia psów, ale cóż pomyślność obywateli może nakazywać prezydentowi? Chyba zadowolenie i nieróbstwo.

Komorowski mianował Boga swoim pomocnikiem. Gdyby rota przysięgi była rzeczowa, Komorowski powinien do niej dodać

Z URNY URBANA

14 lat temu (6 sierpnia 2010 r.)

Bronisław Komorowski objął urząd prezydenta. A zatem – okolicznościowy felieton Urbana z sierpnia 2010 r.

Przysięgacz



inną formułę: „Tak mi dopomóż Kancelaria Prezydenta RP”. Jego liczne pomyłki i wpadki w kampanii wyborczej wskazują bowiem na to, że nowemu prezydentowi potrzebna jest pomoc fachowa, nie zaś poplecznictwo bytów imaginowanych.

Komorowski mógł Boga angażować do pomocniczej pracy u siebie, ale nie musiał. Natomiast ustawa konstytucyjna (art. 11) z 1947 r. nakazywała ślubującemu 5 lutego tegoż roku prezydentowi Bolesławowi Bierutowi wzywać Boga na pomoc, co też ten ateista uczynił. Bóg okazał się Bierutowi przydatny do dawania Kościołowi w kość. Z jego pomocą episkopat poparł kolektywizację rolnictwa i odciął się od uwiecznionego kardynała Wyszyńskiego. Skoro Komorowski nie zamierza powściągać politycznej beczelności kleru ani rabowania przez Kościół publicznego mienia, Bóg nawet nie wie, czym może prezydentowi służyć.

Co charakterystyczne, Bierut przysięgał przestrzegać zasad demokracji, a Komorowski już nie. Tylko za stalinizmu demokracja była cenionym pojęciem.

Prezydenci Narutowicz, Wojciechowski, Mościcki i Bierut przysięgali obywatelom postępować sprawiedliwie wobec nich wszystkich bez różnicowania. Komorowskiemu konstytucyjna rota ślubowania już nie każe tak kłamać. Zobowiązuje się on natomiast strzec godności narodu, a ta godność przywleczona została ze starszych rot przysięgi. Z tym że Mościcki miał bronić godności państwa i jego zwierzchnich praw. Komorowski natomiast za zwierzchnią uznaje wolę narodu, a nie państwa i właśnie godności narodu ma być defensorem. Jak się zdaje, godność zbiorowa współcześnie związana jest tylko z wynikami rozgrywek w piłkę

nożną i to Tusk, a nie Komorowski, za nią się ugania. Wrażliwość na naruszanie godności cechuje społeczeństwa sfrustrowane. Raczej Rosjan, Nigeryjczyków czy Polaków niż Szwajcarów, Szwedów, Anglików. Różnie przy tym godność jest rozumiana. Np. PiS uważa, że godność narodu zostaje poniżona, bo Rosjanie prowadzą śledztwo w sprawie wiadomej katastrofy. PO natomiast mniema, że małostkowa nacjonalistyczna głupota PiS poniża godność Polaków w oczach świata. Na ogół wrażliwość jednostek na naruszanie ich godności cechuje ludzi pozbawionych poczucia humoru i pewności siebie. Godność w prezydenckiej przysiędze sugeruje więc, że Polska nie ma prawdziwych zmartwień.

Rota prezydenckiej przysięgi mogłaby ograniczać się do trzech słów: „Przysięgam nie szkodzić”. Jeśli ma być dłuższa, powinna być rzeczowa. Uwzględniać realne doświadczenia różnych prezydentur. Komorowski obiecać np. powinien, że nigdy nie poleci do Katynia, ponieważ to pechowe miejsce; poprzednik się tam zabił, a jego z kolei poprzednik – upił. Przysięga mógłby, że jeżeli kiedykolwiek przyjdzie mu lądować we mgle, to wcześniej wysadzi współpasażerów. Rzecz też powinien: „Przysięgam wetować najwyżej co czwartą ustawę”, aby poczynania rządu i jego zaplecza w parlamencie korygować, a nie paraliżować. Wśród wielu takich rzeczowych zobowiązań obiecać też powinien był, że jeżeli kiedykolwiek na wyjeździe przy granicę narzuci premierowi swoje towarzystwo, zabierze w drogę własne prezydenckie, składane tak jak przysięga, krzesło.

URBAN
(współpraca AS)

TRYBUNA LUDZI

Jak wyglądałaby ceremonia otwarcia igrzysk olimpijskich w Polsce?

Facebook

Bartek Orzeł: Górniak, Martyniuk, Golec, Babiaryz, Rydzysk, Kurski, Morawiecki, Duda, Kononowicz...

Daniel Len: Msza na rozpoczęcie otwarcia, na końcu otwarcia w środku inscenizacja ataku żołnierzy wyklętych na stanowiska różowej, lgbtowskiej Europy. Babiaryz komentuje.

Maciej Dadej: Obowiązkowa pielgrzymka do Częstochowy warunkiem uczestnictwa.

Kasia Warszawska: Pokazalibyśmy posiedzenie naszego sejmiku jako ilustrację Sodomy i Gomory **Maciej Dadej:** Odsłonięciem jakiegos pomnika.

Tomasz Machnicki: Rozpoczęłaby się mszą z Jasnej Góry.

Marcin Wałęcki: Kobiety zablokowały Poznań. Centrum sparaliżowane. Motornicza bije brawo, geje tańczą poloneza.

Jurek Nosal: Tak jak u Rydzyska, wszyscy trzymają się za ręce i śpiewają Bogurodzicę!

Michał Okla: Piłsudski, papież Polak, husaria, Deyna, Małysz, Pudział, Kaczyński, Grunwald, Smoleńsk, cud nad Wisłą na telebimie, msza, procesja, różaniec, after.

Marek ZorJan Gnybek: Znicz olimpijski miałby formę grilla na balkonie w bloku.

Tomasz Maksymiuk: Piwo, kielbaski i karuzela.

Michał Berent: Orszak olimpijski z Lichenia na Jasną Górę

Krzysztof Matusiak: Jak „Sylwester marzeń” z dwójką za Kurskiego.

Maciej Rowiński-Jabłokow: W finale ceremonii arcybiskup poświęciłby wszystkie samochody Rutkowskiego batalionem wozów strażackich, które kupione zostały z Funduszu Sprawiedliwości.

Beata Staszak: Najpierw przemówienia prezydenta, premiera, marszałków i wicemarszałków sejmiku i senatu, wojewody, prymasa itd. Pozostałe pół godziny uroczystości uświetni inscenizacja przedstawiająca bohaterstwo Polaków na przestrzeni wieków.

Tomasz Maksymiuk: Piwo, kielbaski i karuzela.

Forum

Oska QqRydz-Qqç: Niewątpliwie zwieńczeniem ceremonii powinna być procesja przez Żoliborz

PRASA ŚNIADANIOWA

● W Mikołajkach po raz ósmy odbył się **rejs „Z Maryją na jeziorach”**. Balast zwiększa stateczność łodzi.

● **Królik Bugs** przeprowadza dla Eurosportu wywiady z igrzysk w Paryżu. Kto wygrzył Babiara – wiadomo.

● Największym hitem wśród **Arabów** przylatujących do Zakopanego są krówki ciągutki. Po konikach z Janowa przyszedł czas na krówki z Zakopanego.

● **Detektyw Rutkowski** poświęcił 17 aut w kościele w Aleksandrowie Łódzkim. Jeśli chodzi o zapobieganie rdzy, to lepiej sprawdzi się namaszczenie.

● **W Wiedniu** przez suszę zostało zakazane grillowanie. Nie wystarczy pomodlić się o deszcz?

● **Adam Glapiński** przyjął dwa psy ze schroniska w Radomiu. Już wiadomo, o czym będzie mowa na następnej konferencji prasowej.

MARTA M.

KTO NIE MA W GŁOWIE, TEN MA W NOGACH



Rys. TOMASZ WINTER

Wraz z rządami PO wróciła stara śpiewka, że na nic nie ma pieniędzy.

Złupieni przez biedne państwo

Jeśli słucha się prorządowych radyjek i ogląda TVN lub TVP, to wiadomo, że PiS okradało państwo polskie, bądź rozdawało budżetową kasę swoim. Teraz PiS już nie rządzi, czyli nie kradnie. Pieniądzy winniśmy zatem mieć aż w nadmiarze. Tymczasem z okolic rządu słysząc, że szykuje się zmiana w 800 plus polegająca na tym, że pieniądze będą nie na wszystkie dzieci. Są też ponoć gotowe plany ograniczania wydatków na dodatkowe świadczenia dla emerytów. Z renty wdowiej zostały jakieś żałosne resztki. A poza tym nie stać nas na sztafardową obietnicę Tuska, czyli wyższą kwotę wolną od podatku.

Żyjesz, więc płac

Podatków ci u nas jednak więcej niż dostatek. Mając samochód, ma się fiskalnie przerażane na kilka sposobów. Żeby zostać właścicielem bryki, trzeba zapłacić VAT albo akcyzę. Ta druga powoduje, że za samochody osobowe o pojemności silnika powyżej 2 litrów 18,6 proc. ceny wymyślonej przez urzędników wędruje do fiskusa. Jak wózek ma silnik mniejszy, to podatek spada do 3,1 proc. wartości bryczki. No i na dodatek trzeba skarbowce odpalić coś za przeniesienie prawa własności.

Na tym jednak nie koniec. Żeby samochodem jeździć, należy mu wlewać paliwo. W cenie oleju napędowego, gazu i benzyny większość stanowi łup fiskusa. VAT, akcyza i podatek drogowy, a od kilku lat i opłata emisyjna. Ba, jest też i podatek od wydobycia niektórych kopalin. Został on co prawda wprowadzony w 2012 r. żeby przyciągnąć fiskusowi kasę z wydobycia miedzi oraz srebra, ale od 2016 r. dotyczy również wydobycia ropy naftowej.

Jeśli jednak samochód jest co najmniej półciężarówką lub ciągnie przyczepkę, to dodatkowo państwo kasuje właściciela opłatą za korzystanie z autostrad i dróg szybkiego ruchu. Oprócz tego szczególnie posiadacz ciężarówki musi zasiląć pieniędzmi budżet lokalny w ramach podatku od samochodu ciężarowego.

Jeździ się jednak po to, aby dokądś dojechać. Reguła jest jednak taka, że tam, dokąd dojeżdżamy, stoi parkometr lub pracownik miejscowego ratusza. Obie te instytucje – rzecz jasna – wyciągną od kierowcy kasę za parkowanie. Kasę stanowiącą swoisty podatek lokalny.

Posiadacz mieszkania też jest ulubieńcem fiskusa. Nie dość, że dał zarobić państwu na podatkach od wykonawców chałupy i wszystkich rzeczy, które były niezbędne do jej zbudowania i wyposażenia, to dodatkowo jest lojony podatkami dwójkami. Pierwsze płaci w czynszu. Drugie oświadczenie. W czynszu nalicza mu się bowiem to, że jego bu-

dynek wraz z przyległościami leży na określonym obszarze. A za taki obszar gmina nalicza sobie podatek gruntowy. Drugą należnością jest danina za nieruchomości mieszkalną liczoną po ścianach wewnętrznych na wszystkich kondygnacjach. Prawo uznaje za kondygnację również piwnice, sutereny i poddasza użytkowe. Za to wszystko trzeba zatem płacić jak za mieszkanie. A że w piwnicy z reguły się nie pomieszkuje? Zdaniem urzędu skarbowego świadczy to o tym, że podatnik źle gospodaruje swoją własnością i skoro nie mieszka w piwnicy, to widać albo ma taki kaprys, albo go na takie marnotrawstwo stać.

Jak się jednak mieszka, to wypadałoby mieć choćby jeden odbiornik energii elektrycznej w postaci żarówki. Jeśli się ją włączy, to państwo dopada nas automatycznie, kasując z następujących pozycji: opłaty jakościowe, opłaty sieciowej zmiennej, opłaty OZE, opłaty kogeneracyjnej, opłaty mocowej, opłaty sieciowej stałej, opłaty przejściowej oraz opłaty abonamentowej. No i oczywiście z VAT i akcyzy. Po zbiciu tego wszystkiego do kupy niech nikt się nie dziwi, że polskie podatki w cenie prądu są niemal najwyższe w Europie.

Jak ktoś ma pecha mieszkać w blokowisku, gdzie prawie nie ma trawników, natomiast powierzchnia dróg dojazdowych i dachów jest duża, to choćby od lat nie spadła nań z nieba kropla opadu atmosferycznego, od 2018 r. płaci podatek od deszczu. Żeby jednak nie było tak, że woda pozyskiwana z innego źródła niż niebo nie przynosi państwu pieniędzy, to od początku 2018 r. kasuje się nas, obywateli, z racji opłaty za pobór wód. Opłata ta zaś składa się z części stałej i zmiennej.

Państwo nie byłoby państwem, gdyby nie opodatkowało nawet śmieci. I to na dodatek liczonych statystycznie od każdej osoby przypisanej w jakiś sposób do mieszkania.

Targowisko podatkowej pazerności

Idąc do sklepu, narażamy się na potężniejsze złupienie przez fiskusa niż nam się wydaje. Z paragonów wiemy, że za zakupy ściągnięto od nas VAT. Jak ktoś kupuje flaszkę i fajki, to pewnie z tytułu głowy ma, że zapłacił też akcyzę. A kto jest świadom tego, że kupując w galerii handlowej od kilku lat

ZWIĘKSZYMY WPŁYWY DO BUDŻETU PODATKIEM OD KRYTYKI RZĄDU



Rys. TOMASZ WIATER

płaci w cenie zakupów podatek od przychodów z budynków? Kto, odwiedzając dyskont lub hipermarket, domyśla się, że zostanie płatnikiem podatku od sprzedaży detalicznej zwanego też podatkiem handlowym? Ponieważ w tym roku przychody z tej daniny państwo szacuje na 4,63 mld zł, to wychodzi, że zarówno staruszek z hospicjum, jak i osesek pod inkubatorem oraz cała reszta społeczeństwa odprowadzi w jego ramach ponad 10 zł miesięcznie.

Myli się też ten, kto uważa, że jest cwańszy od państwa i korzystając z e-papierosów, nie zrzuca się na akcyzę. Bo otóż od października 2020 r. się zrzuca. W takim samym błędzie są ci, według których picie gorzały z mniejszych butelek jest korzystniejsze. Nie jest. Opłata od alkoholu sprzedawanego w mniejszych opakowaniach, czyli tak zwanych małpek, weszła też w życie od początku 2021 r., a jest pobierana w momencie sprzedaży do sklepu.

Według lekarzy równie niezdrowy jak nikotyna i alkohol jest cukier. Fiskusowi w to graj, więc, żeby Polacy nie tyli, od 2021 r. kasuje się nas w ramach opłaty cukrowej od napojów słodzonych.

Oczywiście zakupy należy ze sklepu w czymś wynieść. Państwo jest tego świadome. W 2018 r. ruszyła zbiórka kasy dla budżetu z tytułu opłaty recyklingowej za wydawaną przy kasie jednorazową torbę plastikową. W ustawie określono maksymalną opłatę za foliówkę na 1 zł, choć w rozporządzeniu ustalono ją ostatecznie na 20 groszy. Z powodu obchodzenia tych przepisów, w 2019 r. zdecydowano się objąć opłatą wszystkie torby wydawane w sklepach poza tzw. zrywkami, czyli jednorazowymi torbkami służącymi do pakowania owoców czy też mięsa. A za kilka miesięcy do listy podatków płaconych w sklepie dojdzie jeszcze opłata za plastikowe butelki.

Co by tu jeszcze...

Czym dla fiskusa różni się pies od kota, królika, świnki morskiej albo rybek akwariowych? Otóż tym, że za niego należy się władzy lokalnej podatek w wysokości do 173,57 zł rocznie.

Kiedyś taki podatek to miał sens, bo służby miejskie musiały zbierać psie kupy. Teraz niezebranie odchodów szczekającego czworonoga jest wykroczeniem wartym kilka stów. Dzięki tej karze i straż miejskiej proceder zadefekowanych trawników powinien zostać definitywnie rozwiązany. Skoro tak, to za co właściciele psów płacą? Opieka weterynaryjna jest płatna, szczepienia też. Wyjadrzenie i odjałnikowanie zwierzków też obciąża finansowo właściciela. Wygląda na to, że płaci się wyłącznie za to, że pies może się na spacerze wysikać.

Myliłby się jednak ten, kto sądzi, że jedynie państwo ma prawo pobierać nakazane prawem opłaty. Jest bowiem w Ministerstwie Kultury długa lista takich, którym obowiązkowo coś się od nas należy. To tak zwane organizacje zbiorowego zarządzania

prawami autorskimi. Płaci się im, gdy idziemy do kina albo kupujemy płytę z filmem czy muzyką. Płacimy też, gdy siedzimy u fryzjera, a z głośników dobiega jakiś mniej lub bardziej uciążliwy łomot. No i rzecz jasna płacimy na danczangach i dyskotekach. Kasę dla organizacji zbiorowego zarządzania mamy i w abonamencie za kablówkę i w cenie biletu kolejowego bądź autobusowego. A nawet za nocleg w hotelu.

O ile za tamtymi opłatami stoi ZAiKS i spółka, czyli instytucje, o których większość mogła słyszeć, to dla wielu będzie zaskoczeniem istnienie organizacji zbiorowego zarządzania zrzeszającej wydawców. Ci opodatkowali na swoją rzecz wszystkie firmy produkujące lub importujące urządzenia takie jak: kopiarka, skaner, fax, drukarka, urządzenie wielofunkcyjne, maszyny drukarskie, a także papier formatu A3 i A4. Ale żeby tylko to. Do wnoszenia opłaty na ich rzecz zobowiązany jest każdy podmiot świadczący usługi, które wykonywane są przy pomocy takich urządzeń jak: kserokopiarki, skanery czy drukarki, jeśli w ich ramach wykonuje kserokopie, skany czy wydruki utworów na zlecenie osób trzecich.

Żeby było jeszcze ciekawiej, podatek od twórców jest powiększony o VAT. Jest bowiem stałym składnikiem kosztów nigdzie na fakturze czy bilecie niewyodrębnionym.

Podatkiem pobieranym w imieniu państwa, a przeznaczanym na działalność firm jest abonament radiowo-telewizyjny. Płaci go coraz mniej osób, a to z tego prostego powodu, że należy go uiszczać za sam fakt posiadania radia lub telewizora. Wbrew zapowiedziom Tuska sprzed lat, władza nie chce się jednak tej formy opodatkowania pozbyć. W ramach zapłaconego abonamentu oglądamy więc w telewizji publicznej te same reklamy i w tych samych 15-minutowych odstępach, co na wszystkich innych kanałach.

Jeżeli korzystamy tylko z internetu, męcząc się godzinami z kolejnymi sezonami seriali, to też robimy państwu dobrze. Podatek od serwisów wideo na życzenie został wprowadzony od lipca 2020 r. Danina wynosi 1,5 proc. i obejmuje przychody z opłat od użytkowników lub z reklam poszczególnych serwisów.

Nie żyjesz – też płacisz

Jeśli po opłaceniu tych wszystkich danin coś komuś jeszcze zostaje, to ląduje na koncie bankowym. Oczywiście po to, żeby z tej kasy bank pobrał dla państwa podatek bankowy. W tym roku fiskus ma w planach ściągnięcie z tego tytułu 6,25 mld zł. Ponieważ konta w banku ma ok. 30 mln Polaków, to każdy z nich w tym roku statystycznie popłynie na podatku bankowym na jakieś 200 zł.

Wiadomo, że w dzisiejszym świecie liczy się nade wszystko kreatywność. Korzysta z niej jak widać i fiskus, choć zdawać by się mogło, że opodatkowano już wszystko. Podatki płaci się więc przy zarabianiu i wydawaniu. Przy posiadaniu i zbywaniu. Płacimy za świeże uzdrowiskowe powietrze, za to, że słuchamy muzyki, że korzystamy z komunikacji indywidualnej i zbiorowej, gdy łoimy gorzałę i palimy szlugi, a nawet za to, że gdy trafiamy po śmierci do krematorium, to obowiązково w owatowanej tekturowej trumnie za 700 zł.

Ponoć są dwie rzeczy pewne: śmierć i podatki. W Polsce jednak jedno nie zwalnia z drugiego. Gdy umiera komuś małżonek lub małżonka, jest to dla tej osoby bolesne. Gdy zmarły prowadził sklep, staje się to bolesne w dwójnasób. Nie dość, że taki zgon powoduje zamieszanie związane z formalnościami i pochówkiem, to na dodatek wywołuje niemiły stan prawny powodujący konieczność zapłacenia wyższego podatku. Tak to bowiem w naszym prawodawstwie skarbowym jest, że jak nieboszczyk nie zrobił przed śmiercią remanentu lub nie przypisał żony do prowadzonego biznesu, to zabiera ze sobą do grobu koszty. Koszty zaś to nie byle co. To kasa, którą władował po to, by na półkach sklepu przezeń prowadzonego stał towar. Jeśli opuszcza ten padół, to współmałżonek spadkobierca dziedziczy towar, od sprzedaży którego ma zapłacić podatek i nie może od tego odliczyć forsy, za którą te dobra zostały kupione.

Skoro większość obywateli jest świadoma bycia łupionymi podatkowo, to

można mieć stuprocentową pewność, że rządowe wynurzenia o tym, że państwa polskiego nie stać na coś sensownego dla płacącego te haracze obywatela, skończą się tak jak w 2015 r. Najpierw nikomu wcześniej nie znanym prezydentem, a potem totalnym skokiem gangsterów na przejęcie od nieudaczników państwo.

TADEUSZ JASIŃSKI

MÓŹDZEK TYGODNIA

Władysław Kosiniak-Kamysz (albo Kosiniak-Amisz, jeśli wolno żartować z nazwiska i z tkwienia w przeszłości) jest wierny swoim poglądom i jest z tego dumny. Deklaruje: żadnych skrobaneek, a jeśli chodzi o liczbę żon, to dwie, góra trzy – i nie naraz (bo gdyby naraz, to mógłby się wówczas nazywać Kosiniak-Mormon).

Kosiniak-Kamysz obawia się, że jeśli coś się nie wydarzy, to w następnych wyborach Polskie Stronnictwo Ludowe – i pewnie cała Trzecia Droga – pozostanie pod progiem. Prezes PSL wymyślił zatem, że aby ocaleć, musi być bardziej papieski od papieża i co najmniej tak kaczy jak Kaczyński. Zapowiedział ustawę o wychowaniu patriotycznym.

Wychowanie takie ma polegać na wyznaczeniu wzorca patrioty (Przemysław Babiarz tak, John Lennon nie) oraz patriotycznych lektur („Przed sklepem jubilera” tak, „Sto dwadzieścia dni Sodomy” nie).

Ustawa o wychowaniu patriotycznym pomoże ministrowi obrony jak wampirowi kadzidło. Wicepremier będzie mógł za to zmienić imię i nazwisko – na Felicjan Kosiniak-Dulski.



Ilust. PAVEŁ FERENC

Disco z rozpylacza

Powstanie warszawskie ma w Polsce status religijnych bachanali

Nie mam powstańczych tradycji w rodzinnych historiach. Zyliszy w ubiegłych wiekach w Częstochowie i okolicach. Nie roztrząsaliśmy dylematu: bić się czy nie bić? Należeliśmy do tej większości Polaków, która do powstań nie szła. Pochłonięta była przyziemnym pytaniem: jak zarobić? Czasem – jak przeżyć?

Pierwszych powstańców warszawskich Babcia moja ujrzała w Alei Najświętszej Marii Panny. Jesienią 1944 r. „Bida z nędzą” – wdychała na wspomnienie o nich. Byli tam jak dzisiejsi ukraińscy uchodźcy wojenni. Miewali gorzej od Żydów uciekających z miejscowego getta. Żadnych znajomych, zabunkrowanego złota, kosztowności. „Dziadostwo” – tak tych „warszawiaków” zapamiętała. Wtedy wśród miejscowego drobnomieszczaństwa określenie „dziadówka” gorsze od „kurwy” było.

Mój Tatusz legalizował powstańcze rodziny na rozkaz miejscowego polskiego państwa podziemnego. Zapamiętał, że ciągle i gromko bluzgali na swe niedawne dowództwo. Bo przez nich bezmyślnie wywołane powstanie całe miasto zrujnowało. Sprowadziło na nich śmierć, bezdomność, życiową klęskę.

Po powstaniu warszawskim ukrywał się w Częstochowie też generał Okulicki, pseudonim „Niedźwiadek”. W przekazach historycznych to jego głos zdecydował o wybuch powstania. Czytałem też sugestie, że mógł on być wtedy agentem NKWD.

Żołnierz poeta

Kult powstania warszawskiego krzewiono w moim częstochowskim IV Liceum Ogólnokształcącym. Już w pierwszej połowie lat 70. XX w. Przypominam to, bo dzisiejsi publicyści, zwłaszcza ci wyznający „babiarzowy” antykomunizm, uczą dzieci, że w Polsce Ludowej zakazano czczenia powstania warszawskiego.

A przecież co roku słyszałem w LO frazę „Ja, żołnierz poeta, czasu kurz”. Jako temat przymusowych wypracowań, recytację podczas uroczystych, szkolnych Akademii ku Czci. Poeta żołnierz Krzysztof Kamil Baczyński był naszym

patriotycznym wzorcem osobowym. Idolem i bogiem.

Młody, zdolny, wdychający do swej Kasi czy Basi. Piszący wiersze niezwykle wysokiej jakości. O jakich każdy polski inteligent wtedy marzył.

A kiedy jego Kasia czy Basia usłyszała, że „nasi biją w tarabany”, to Krzysztof Kamil poszedł na bój śmiertelny. Zginął jak kamienie rzucane na szaniec. Zachował się jak patriotycznemu inteligentowi przystało.

Melorecytując kolejny raz mantrę o żołnierzu poecie i kurzu, nie mieliśmy pojęcia, że ten kult powstania to efekt wcześniejszego sojuszu antysemitów generała „Mietka” Moczała i propanistwowych kombatanów AK. Korporacji kombatanckiej ZBoWiD, która modelowała zbiorowy patriotyzm ówczesnej młodzieży.

Streszczanej nam na potrzeby szkolnych lekcji. Zbyt długiej do jej przeczytania nawet dla patriotycznych licealistów.

Krytyczne wobec powstania filmy „Eroica” i „Kanał” wypierane wtedy były przez tych westernowych „Kolumbów”. Nic dziwnego, że ci przystojni, wysportowani, sympatyczni, patriotyczni „Kolumbowie” byli oficjalnymi idolami polskiej młodzieży w „komunistycznej” Polsce. Ich Basie/Kasie znane pod pseudonimami „Sarenek”, „Niteczek”, „Różyczek” wywoływały nam erotyczne fantazje i pobudzały do intensywnego onanizmu.

„Antek Rozpylacz”

Wielu z was choć raz przynajmniej, zwiedzając warszawska Starówkę, napotkało Pomnik Małego Powstańca. Kultowego „Antka Rozpylacza”. Legendarnie rozwalającego Szkopów w drebiezgi. Ów Antek to kolejna ikona patriotycznej, religijnej wizji powstania. Dziełnego dziecka-żołnierza.

Kult „Rozpylacza” żywy był jeszcze w końcu XX w. Kiedy byłem posłem na sejm, w każdy poniedziałek przyjmowałem reprezentantów polskiego społeczeństwa na poselskich dyżurach.



Wtedy powstanie warszawskie jawiło się nam jako moralny, zbiorowy obowiązek poetów żołnierzy i zakochanych w nich cnotliwych Baś/Kaś. Zachowujących swe dziewictwo i dziewczęce piękno nawet po zbiorowym zgwałceniu ich przez wrażeń żołdaków.

Wówczas wiedzę o powstaniu warszawskim czerpaliśmy przede wszystkim z serialu „Kolumbowie”. Opartym na świetnej powieści Romana Bratnego.

Posel jest jak ksiądz z wiatykiem. Każdego chętnego przyjąć musi i powinien wysłuchać go.

20 lat temu byłem nie tylko posłem, także redaktorem tygodnika „NIE”. Miałem opinię człowieka, który wiele może załatwić, bo byłem blisko ucha władzy i ucha redaktora Urbana. Ponieważ Urban miał opinię wszechmocnego i bogatego, to był wyżej notowany niż ówczesna władza.

W ciągu trzech kadencji odwiedziło mnie sześciu starszych panów prezentujących się jako ten pomnikowy „Antek Rozpylacz”. Każdy z nich czuł się niedoceniany przez władze, zwłaszcza materialnie. Każdy prosił o załatwienie kasy. O sławę nie prosili, bo swój pomnik w centrum Warszawy już mieli. Wtedy poznałem powszechnie dziś uprawiany przekręt „na patriotę”. Rwanie pieniędzy, najlepiej publicznych, wykorzystując polskie bogoojczyźniane sentymenty.

Niestety, pomimo ich energii i żywotności, żaden z moich „Rozpylaczy” kasy nie wyrwał. Urban odporny był na powstańcze religie. A władze wtedy wołały o polskich żołnierzach małolatach milczeć.

Na początku XX w. przelała się po świecie medialna fala współczucia dla afrykańskich dzieci wcielanych przez plemiennych watażków do wojskowych oddziałów. Zmuszanych do zabijania i odczuwających radość z łatwego zabijania.

W czasach powszechnego potępienia dla udziału dzieci w wojnach, polski „Antek Rozpylacz” przestał być fajną maskotką fajnego powstania. Okazał się ofiarą wojny. Zupełnie nieprzydatną dla kultu kolejnego honorowo przegranego zrywu.

Rychło miejsce dziecięcego boga wojny w nowo tworzonej nurcie religii powstania warszawskiego zajęła nowa bogini. „Szara Łączniczka”. Wojownicza. Matka polskich patriotów.

„Morowe panny”

Najsłynniejszą ikoną tego powstańczego kultu jest upamiętniona specjalną tablicą/oltarzem w Panteonie starachowickiej bazyliki Wszystkich Świętych pani Jadwiga Kaczyńska z domu Jasiewicz.

Sanitariuszka podziemnego w czasie okupacji niemieckiej harcerstwa. Nosząca pseudonim „Bratek”. Honorowa obywatelka miasta Starachowice. Patronka jednej z jego ulic.

Przez osiem lat rządów PiS prorządowa propaganda przypominała, że pani Jadwiga, matka Jarosława i Lecha Kaczyńskich, była w czasie powstania warszawskiego dzielna sanitariuszką Szarych Szeregów. Każdy, kto choć liźnął religię powstania warszawskiego, wie, że sanitariuszki Szarych Szeregów były niezwykle, wprost legendarnie dzielne.

Ale nie tylko. Do mitologii powstańczej przeszła równie ikonograficzna sanitariuszka „Małgorzatka”, która „słodka jest jak miód”. W tejże mitologii sanitariuszki są „morowymi pannami”. Nie oznacza to, że mają jakiś pomór, czyli chorobę. Po „warszawsku” kobitka „morowa” jest generalnie OK.

I każdy, kto zna popularną pieśń powstańczej religii „Pałacyk Michła”, pamięta, że „gdy cię trafi kula jaka”, to sanitariuszka „da ci buziaka”. Pewnie dlatego w powstaniu było tak wielu rannych. Każdy „rozpylacz” chciał się pewnie przeliżyć z taką „morową”.

Ale nie z sanitariuszką „Bratek”. Nie dlatego, że nie była „morową”. Pani Jadwiga Kaczyńska z Jasiewiczów rzeczywiście była sanitariuszką w Szarych Szeregach. Jednak w czasie powstania warszawskiego mieszkała w Starachowicach. Do Warszawy przyjechała po powstaniu, w 1946 r. Pomimo tego przez licznych kapłanów religii powstania wymieniana jest jako ta „bohaterska sanitariuszka” w czasie kolejnych powstańczych bachanali.

I nie ma się tu czemu dziwić. W średniowiecznym kościele katolickim istniały „relikwie kompaktowe”. Liczne drzazgi z krzyża świętego, gwoździe krzyżowe, włócznie i miecze oprawców Jezusa. Otrzymywały one cudowne moce relikwii dzięki tym jedynym autentycznym drzazgom, gwoździom, włóczniom i mieczom.

Wspomniana wyżej sanitariuszka „Bratek” mogła zostać w PiS-owskich mediach taką „kompaktową” bohaterką powstania. Bo choć udziału w nim nie wzięła, to przechowała jego tradycję i urodziła potem dwójkę wielkich obrońców honoru powstania warszawskiego.

Dziś powstanie warszawskie prezentowane jest w jego warszawskim muzeum jako wspaniałe, warte uczestnictwa wydarzenie. Patriotyczna, radosna dyskoteka.

Dziś powstanie to też pretekst do zabaw i perlistych publicznych, zbiorowych śpiewów. Co roku powstają też nowe psalmy chwalebne jej. Moim ulubionym szlagierem jest zapiewajka o „Mojej małej dziewczynce z AK”. Obiekcje marzeń starszego już „Rozpylacza”.

Radość ze zbiorowej śmierci, masowej ofiary to wielka tajemnicza wiara! Bawcie się zatem w tym roku znów dobrze.

PIOTR GADZINOWSKI

Ziobro bierze gwałtem

ETYKA
BEZBOŻNA

Historia polskiej państwowości właśnie wzbogaciła się o nieoceniony dokument. Jest nim list, jaki 30 maja 2018 r. nieodwołalnie już były minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro wysłósował do jeszcze bardziej byłej ministerki finansów Teresy Czerwińskiej. Otóż skąpy ten a podejrziwy babsztyl śmiało opierał się przed wydaniem szanownemu panu Ziobrze, zbrojnému ramieniu szanownego o. Rydzyska, mniej więcej stu baniek na sprzęt medyczny dla ochotniczych straży pożarnych, które to pieniądze nasz wielki patriota i obrońca wiary zamierzał rozdysponować (w ramach sławetnego Funduszu Sprawiedliwości) w okręgach wyborczych, w których do samorządów startowali jego ludzie. A poważnie, to Ziobro się wkurzył i ni mniej, ni więcej, tylko zaszantażował Czerwińską, że jak ona mu nie da na strażaków, to on nie da na odłaski dla dzieci, co miał już uzgodnione z Ministerstwem Edukacji. Nie do wiary! Zupełnie jak w filmie gangsterskim: jak ty mi tak, to ja ci tak! A masz!

Intuicja podpowiada nam, że zachowanie Ziobry było skrajnie niemoralne i odrażające. Faktycznie, pachnie tu jakimś wymuszeniem i rozbojem w biały dzień w rządowym gmachu. Ale to tylko intuicja, bo wyjaśnienie, na czym polega szalbierstwo takiego szantażu, wcale nie jest takie proste. Można bowiem postępkowi Ziobry jakoś bronić. Oto mamy na szali dwa dobra: po jednej stronie sprzęt ratujący życie dla strażaków, a po drugiej gadzety, których stosowanie również oszczędza życie, i to dzieci. I teraz nasz bohater mówi tak: w imię nakazu maksymalizacji dobra, jakim jest ratowanie życia ludzkiego, a więc w imię dobra najwyższego, pozwalam sobie na szantaż opierający się na żądaniu, aby zrealizować tego dobra jak najwięcej (sprzęt dla strażaków i odłaski razem) albo nie zrealizować go wcale.

Sens tego szantażu polega na zawartym w nim przymusie moralnym (dlatego ten rodzaj szantażu nazywa się właśnie szantażem moralnym). Osoba szantażowana, czyli minister Czerwińska, po prostu nie ma wyjścia. Może to i wredne, ale została posta-

wiona w sytuacji przymusowej: musi się zgodzić na dodatkowe pieniądze na sprzęt dla OSP, bo jeśli tego nie uczyni, to będzie miała na sumieniu nie tylko tych, którzy nie uzyskają pomocy z powodu braku tego sprzętu, ale w dodatku również dzieci, które pozbawione odłasków powpadają pod koła samochodów. Inaczej mówiąc, najwyższe dobro usprawiedliwia przemoc, jaką jest szantaż i stawianie drugiej osoby w sytuacji przymusowej. I co? Gdzie tu draństwo? Czyż Ziobro nie jest twardzielcem, który gra ostro, bo chodzi o ratowanie życia? Tak to pewnie widzą jego zwolennicy.

Ale nie. Nie tak prędko. Złudzenie wynika z tego, że cała sytuacja została przedstawiona w uproszczeniu – jako pewna idealizacja. A to błąd. Bo w życiu moralnym diabeł tkwi w szczegółach. Chodzi zawsze o to, jak jest naprawdę i jakie są realne warianty sytuacji. Ziobro bez wątplenia złamał co najmniej trzy zasady moralne: po pierwsze, zasadę mówiącą, że godność i wolność człowieka wyklucza stosowanie wobec niego szantażu; po drugie, zasadę mówiącą, że w imię powagi i wiarygodności urzędu, ustaleń urzędowych (a w sprawie odłasków takowe już były) się nie narusza oraz, po

trzecie, zasadę, że ludzi nie traktuje się jak przedmiotów i nie rozgrywa – bez ich udziału – przeciwko sobie. A tak właśnie Ziobro uczynił, manipulując dwiema grupami tzw. interesariuszy bez pytania ich o zdanie: potencjalnymi ofiarami wypadków, którym pomagają strażacy oraz dziećmi, które mogłyby stać się ofiarami wypadków z powodu słabej widoczności, lecz niekoniecznie uzyskujących pomoc akurat od strażaków z OSP. Czy Zbigniew Ziobro działał w jakimś stanie wyższej konieczności, łamiąc o d raz u trzy zasady? Otóż bynajmniej!

Różne są sposoby wyposażania służb ratowniczych w potrzebny sprzęt i na różne sposoby można rozpowszechniać elementy odłaskowe ubioru dla dzieci chodzących po zmroku wzdłuż słabo oświetlonych dróg. Akurat Fundusz Sprawiedliwości nie jest powołany do tego, aby za jego pomocą dystrybuować sprzęt medyczny, choć może w pewnych przypadkach można by to jakoś usprawiedliwić. Również wspieranie akcji rozdawania dzieciom odłasków nie jest zadaniem Ministerstwa Sprawiedliwości i jego funduszu na rzecz ofiar przestępstw.

Jakie zamiary polityczne miał Ziobro i po co mu była cała ta akcja, to wiemy. Zresztą nie kryje się z tym w inkryminowanym liście, co samo w sobie jest jakimś kuriozum. Jednak nawet przy



Reakcją resortu minister Izabeli Leszczyńskiej na zawetowanie przez prezydenta ustawy dającej powszechny dostęp do antykoncepcji awaryjnej osobom w wieku 15 lat i więcej, było rozporządzenie, które pozwalało każdej niewieście pójść do apteki, pogadać chwilę z farmaceutką lub farmaceutką i wyjść z pigułką EllaOne.

Niedostępna pigułka

Dzień przed wejściem przepisu w życie Naczelna Rada Aptekarska odzegnała się od jego zapisów, stwierdzając, że są sprzeczne z milionem innych regulacji prawnych. Niektórzy aptekarze postanowili jednak posłuchać i wymslić kącik do intymnych rozmów aptekarza z pacjentką. Szybko okazało się jednak, że choć według Ministerstwa Zdrowia preparat mogą nabyć już 15-latk, był jeden warunek. Do apteki muszą przyjść z matką, ojcem lub innym opiekunem prawnym. W przepisach nie było o tym mowy, ale takie rozwiązanie zalecał aptekarski samorząd, a podległy Leszczyńskiej NFZ wydał komunikat, że farmaceuta może odmówić osobie nieletniej sprzedaży antykoncepcji, jeśli nie przyjdzie z rodzicem.

W Polsce jest 2477 gmin. W każdej jest pewnie apteka, bo statystyka mówi, że leki można kupić na terenie kraju w 11 tys. tego typu placówek. Tyle tylko, że po miesiącu obowiązywania rozporządzenia Leszczyńskiej, pigułkę „dzień po” wydawaną dorosłej kobiecie po zasięgnięciu opinii farmaceuty można było kupić w 503 aptekach. Statystycznie to mniej niż w co czwartej gminie. Ale jeśli weźmiemy pod uwagę, że zdecydowana większość aptek jest w dużych miastach, to okaże się, że są olbrzymie połacie Polski, gdzie prawo do bezreceptowej pigułki „dzień po” jest bardzo nieżywe.

Urna z pustką

Najbardziej martwe przepisy dotyczą – jak sama nazwa wskazywać by mogła – zwłok. Bo jak chce ustawa – „zwłoki mogą być pochowane przez złożenie w grobach ziemnych, w grobach murowanych lub katakumbach i zatopienie w morzu”. Szczególnie ciekawe jest kolejne zdanie, które mówi, że „szczątki pochodzące ze spopielenia zwłok mogą być przechowywane także w kolumbariach”. Gdyby jednak ktoś sądził, że grób lub nawet murek, w którym będzie nisza na urnę, można sobie strzelić na własnym podwórku, to nie ma racji. Wszak „groby ziemne, groby murowane i kolumbaria przeznaczone na składanie zwłok i szczątków ludzkich mogą znajdować się tylko na cmentarzach”. Dzięki temu zapisowi na każdej śmierci musi zarobić jakiś cmentarz. A ponieważ 95 proc. cmentarzy należy w Polsce do Kościoła katolickiego, to nikt tego prawa nie zmienia. Skoro jednak na horyzoncie pojawia się Kościół katolicki, to można być pewnym, że gdzieś zapachnie hipokryzją. I dokładnie tak jest w tym przypadku.

założeniu, że nie przyświecał mu żaden inny cel niż zapobieganie wypadkom i pomoc ofiarom, nie ma tu żadnej wyższej konieczności. Gdyby Ziobro uważał, że w dziedzinie redystrybucji pieniędzy na ochronę zdrowia jest fatalna luka, którą bezzwłocznie należy wypełnić, to po prostu powiedziałby o tym na posiedzeniu rządu: trzeba koniecznie doposażyć OSP w sprzęt medyczny! A gdyby właściwy minister, czyli minister zdrowia, rozłożył ręce, że wszystko już wydał, to wtedy szlachetny minister sprawiedliwości, kłaniając się w stronę pani minister finansów, odparłby, że sam gotów jest znaleźć jakieś oszczędności w swoim resorcie, zwłaszcza gdyby resort finansów trochę tę operację wspomógł. Potem ewentualnie zamówiono by raport na temat potrzeb sprzętowych w OSP, medycznego przeszkolenia strażaków itp. Tak mniej więcej wygląda uporządkowane i kulturalne postępowanie w łonie przyzwoitego rządu. Tylko że Ziobrze o żadne tam torby medyczne nie chodziło, lecz o możliwość pochwalenia się przed wyborcami, że finansuje OSP wobec czego lokalna ludność powinna odwiedzic się głosami na jego kandydatów do samorządów. A na deser proponuję własnymi oczyma przeczytać list Ziobry do Czerwińskiej. Wisi na stronie wyborcza.pl. Rarytas!

A! Może interesuje Was, czy w końcu Ziobro tę kasę wyrwał? No, masz! Pewnie, że tak!

JAN HARTMAN

Przykłady głupoty legislacyjnej objawiające się martwymi przepisami są nieśmiertelne.

Nieżywe prawo

Droga zmarłego na cmentarz wygląda tak, że najpierw zwłoki jadą do spopieleni. Stamtąd wychodzą w formie prochów wsypanych do urny. Urnę z krematorium odbierają pogrążeni w bólu. Żeby zrobić zadość polskiemu prawu, muszą w ciągu rozsądnego czasu dostarczyć ją na cmentarz, do katakumb, czy kolumbarium. Tam urnę wkłada na półkę pracownik zakładu pogrzebowego i ją zamurówuje. Urnę, nie prochy. Te mogą zostać w międzyczasie rozsiane, gdzie się rodzinie podoba. Nikt tego nie kontroluje. Pracownik zakładu ma wyrąbane, czy w urnie są prochy, piasek, czy nawet powietrze. Urna jest urna i to za nią się płaci. Debilne przepisy uniemożliwiające rozsypanie prochów funkcjonują więc nie z powodów fitysanitarnych, tylko żeby cmentarz mógł skasować parę tysięcy złotych.

Truchło kodeksowe

Nader martwe prawo odnosi się też do nieżywych psów, kotów, chomików, świnek morskich i królików miniaturowych. O koszatniczkach nie wspominając. Obowiązujące prawo stanowi bowiem, że samodzielne pogrzebanie zwierząt jest nielegalne. I to w świetle najroźniejszych ustaw, rozporządzeń i innych takich.

Zakopanie martwego kota w odludnej części parku podpada artykułowi 154. Kodeksu wykroczeń stwierdzającemu, że osoba, która kopie dół lub rów na gruncie leśnym lub polnym nie będącym jej własnością i zakopuje tam padlinę, podlega karze grzywny nie niższej niż 500 zł. Jeszcze gorzej zakopać truchło futrzaka w lesie, bo: „Kto w lasach zanieczyści glebę lub wodę albo wyrzuca do lasu kamienie, śmieci, złom, padlinę lub inne nieczystości, albo w inny sposób zaśmieca las, podlega karze grzywny albo karze nagany”. Grzywna może wynieść do 5 tys. zł, jeżeli nałoży ją sąd. Chyba że uda się wyprosić na mundurowym mandaty w wysokości 500 zł.

Jeśli ktoś chciałby jednak użyć zwłokami Burka swój ogród, to też nie może. Dostanie karę 500 zł za zanieczyszczanie podziemnych cieków wodnych i skażenie gleby.

Rozporządzeniem nr 1069 Parlamentu Europejskiego wprowadzono ponadto zasadę, że truchło zwierząt domowych musi być utylizowane. To samo jest i w naszej polskiej ustawie o ochronie zdrowia i zwalczaniu chorób zakaźnych zwierząt. Z obu tych aktów prawnych wynika, że ciało martwego zwierzątka traktowane jest jako odpad niebezpieczny I kategorii i jak nie zostanie odwiezione do specjalnej spalarni, to właścicielowi padliny grozi kara finansowa sięgająca 0,8 średniej krajowej. Przepisy te pisane są tylko pod donosicieli, a i to też niekoniecznie, bo żaden szanujący swój mundur funkcjonariusz nie chwyci się przecież za łopatę, by pozyskać dowód wykro-

czenia, odkopując nielegalnie zakopane zwłoki myszokoczek.

Trupi laser

Według taryfikatora za niezachowanie minimalnej odległości między pojazdem grozi mandat od 300 do 500 zł oraz 6 punktów karnych. Przepis ten, skądinąd bardzo słuszny, jest zwykle martwy, co jednak nie znaczy, że policja co jakiś czas nie straszy nim w mediach. Głównie zaś tym, że z paroma specjalnymi miernikami laserowymi zasadza się na autostradach lub ekspresówkach. Bo faktycznie się zasadza, ale korzysta tylko z trybu pomiaru prędkości. Bowiem za jej przekroczenie może przywalić o wiele wyższą karę.

Najzabawniejsze, że mnóstwo fotoradarów stosowanych w Polsce posiada funkcję wykrywania odległości między autami, ale urządzeń nie stosuje się na drogach szybkiego ruchu, więc funkcja ta jest bezużyteczna. Parę miesięcy temu policjanci, widząc, że kierowca siedzi na zderzaku, wypisywali też mandaty na podstawie nagrań z samochodowych kamer pokładowych. Już nie wypisują, bo ten sposób egzekwowania martwych przepisów umarł ostatecznie przed sądem.

Z powodu martwicy prawnej innych przepisów drogowych wciąż chodnikami śmigają obok policyjnych patroli stada rowerzystów nieświadomych, że naruszają prawo. Zaś spacerującym mundurowym, którzy przecież nie są z drogowki, też nikt nie wytłumaczył, że za nieuzasadnioną jazdę rowerem po chodniku powinni wystawiać mandaty, a za przejazd rowerem po przejściu dla pieszych dorosłego rowerzystę mogliby czardżować nawet na kilkaset złotych.

Fikcyjny meldunek

O ile jednak martwe przepisy drogowe czy te o utylizacji zwierząt mają choćby minimalne logiczne uzasadnienie, o tyle to wszystko, co dzieje się od lat z obowiązkiem meldunkowym, poza granicę logiki wykracza mocno.

Konieczność zapisania się w urzędzie pod danym adresem miała być zniesiona już na początku rządów Platformy w 2007 r. Potem mówiła o tym nawet „dobra zmiana”. Efekt jest taki, że jak stano- wi ustawa, „Obywatel polski przebywający na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej jest obowiązany zameldować się w miejscu pobytu stałego lub czasowego najpóźniej w 30. dniu, licząc od dnia przybycia do tego miejsca”.

Obowiązek meldunkowy obywateli polskich polega zaś na: „zameldowaniu się w miejscu pobytu stałego lub czasowego, wymeldowaniu się z miejsca pobytu stałego lub czasowego, zgłoszeniu wyjazdu za granicę, zgłoszeniu powrotu z wyjazdu z zagranicy”. Prawodawca to jednak dobre panisko, bo usta-

nowił przepis zezwalający na to, że „równocześnie można mieć jedno miejsce pobytu stałego i jedno miejsce pobytu czasowego”.

Na rządowych stronach internetowych obywatel dowiaduje się, że „pobytem stałym jest zamieszkanie w określonej miejscowości pod oznaczonym adresem z zamiarem stałego przebywania. W tym samym czasie można mieć tylko jedno miejsce pobytu stałego”. Zaś „pobytem czasowym jest przebywanie bez zamiaru zmiany miejsca pobytu stałego w innej miejscowości pod oznaczonym adresem lub w tej samej miejscowości, lecz pod innym adresem”. No i jeszcze jak się wybywa z kraju na dłużej, to się trzeba wymeldować, a po powrocie wręcz przeciwnie.

Po jaką cholerę to wszystko, skoro gdy się obowiązkowo meldunkowego nie dopełni, to nikomu nie spadnie łupież z głowy.

Dawno temu art. 147 Kodeksu wykroczeń przewidywał dla osoby niezameldowanej karę grzywny, a nawet mandatu dla każdego, kto nie poinformował urzędu o znanym mu przypadku braku zameldowania. Tyle tylko, że w 2013 r. przepis ten został wysłany na śmietnik. Obowiązuje zatem prawo, którego zgodnie z prawem mamy prawo nie przestrzegać.

Durne lex

Tak samo jak wielu zapisów Prawa prasowego. Bo choć stoi w nim, że „nikt nie może być narażony na uszczerbek lub zarzut z powodu udzielenia informacji prasie, jeżeli działał w granicach prawem dozwolonych”, to żeby wywalić gadułę z roboty, instytucja publiczna zawsze znajdzie jakiś powód.

Jest w Prawie prasowym i takie kuriozum, o którym nie pamięta już nikt: „organy państwowe (...) są obowiązane do udzielenia odpowiedzi na przekazaną im krytykę prasową bez zbędnej zwłoki, nie później jednak niż w ciągu miesiąca”. Nie wspominając o przepisie, na mocy którego „organ rejestracyjny może zawiesić wydawanie dziennika lub czasopisma na czas określony, nie dłuższy niż rok, jeżeli w ciągu roku co najmniej trzykrotnie w tym dzienniku lub czasopiśmie zostało popełnione przestępstwo”. Jakby zawieszony tytuł nie mógł już następnego dnia odwieść się samemu, rejestrując tytuł nader zbliżony do sprostowanego.

Wciąż obowiązują też przepisy, że rejestracja tytułu prasowego jest nieważna, gdy periodyk nie ukazuje się przez rok. Zapis jest po to, żeby w sądowym spisie tytułów prasowych nie figurowały martwe dusze. Żeby zobaczyć jak to się sprawdza, wystarczy wejść na ten – udostępniony w sieci – spis i skonstatować, że wciąż w Polsce wychodzą tygodniki, miesięczniki i gazety, o których już dawno zapomnieli najstarsi kioskarze. Wpakowanie rejestru tytułów sądom było głupie od zawsze, szczególnie dlatego, że żaden sędzia ani nie chciał, ani nie miał możliwości weryfikowania tego, czy coś się jeszcze ukazuje, czy może splajtowało.

Dokładnie tak samo wygląda nałożony ustawą na mieszkańców budynków wielorodzinnych obowiązek segregacji śmieci. Nie wspominając o takich drobiazgach jak opodatkowanie osób wynajmujących mieszkania, czy zatrudniających ukraińskie sprzątaczkę albo nianie. Ba, mimo tego, że internet nie zna granic, wciąż obowiązują u nas bzdura o nazwie cisza wyborcza.

Przykładów na niepodlegające żadnej kontroli kretyńskie zapisy w polskim prawie można znaleźć tysiące. Są w niemal każdym akcie prawnym. Akcie stanowionym przez wybrańców „narodu polskiego”. Akcie będącym prawem obowiązującym w jakże praworządnym teraz państwie polskim.

TOMASZ BOROWIECKI

Historia pewnej obietnicy

Polityka historyczna w ostatnich 35 latach nie tylko śmieszy, tumani i przstrasza, ale również głodzi i zabija.

Konstytucyjne zapisy o wolności słowa od samego początku obarczone są niezliczonymi wyjątkami zabraniającymi mówić i pisać coś innego, niż sądzi aktualna władza.

Śmiesz

Największy knebel założono wolnemu słowu w roku 1998, w ustawie powołującej Instytut Pamięci Narodowej. Zakazuje ona publicznego zaprzeczania „zbrodniom nazistowskim”, „zbrodniom komunistycznym” i innym przestępstwom stanowiącym „zbrodnie przeciwko pokojowi, ludzkości lub zbrodnie wojenne”. Chyba że zbrodnie te popełniono przed 1 września 1939 lub po 31 lipca 1990 r.

Czym są te zbrodnie, nie wiadomo, tak samo jak nie ma definicji innych przestępstw. Za cholerę nie da się też z litery ustawy wysnuć, czym ma być „publiczne zaprzeczanie”. Czy do pudła kwalifikuje się ten, kto opowiada, że w Auschwitzu ginęli przede wszystkim Polacy, czy ten, kto dowodzi, że zginęło tam trochę mniej ludzi, niż uważa prokurator z IPN?

Dokładnie taki sam dylemat może mieć prokurator stawiający zarzuty komuś, kto ze złej woli czy z głupoty zgodzi się z rosyjską wersją historii i uzna, że Katyń, Charków i Miednoje to typowa zbrodnia wojenna, a nie – jak chcieliby prawdziwi Polacy – ludobójstwo. Dylemat na wagę trzech lat pozbawienia wolności za użycie innych słów na określenie tej samej tragedii.

Na 36 miesięcy odsiadki łapie się też każdy, kto pozwoli sobie wątpić, że kierownik, którego zmuszono w stanie wojennym do zwolnienia z pracy jakiegos Józka z Solidarności, jest zbrodniarzem komunistycznym. A jest, bo takich wyroków kilka zapadło, więc wręczanie komuś wypowiedzeń z pracy awansowało do rangi zbrodni komunistycznej.

Do 2009 r. Kodeks karny przewidywał karanie za publiczne propagowanie „faszyzmu lub innego ustroju totalitarnego” albo za nawoływanie do nienawiści, np. na tle różnic narodowościowych. Kodeks nie wymieniał komunizmu, co zabolalo – zdawać by się mogło – tak nieczułych na politykę historyczną rządzących podówczas platformersów i ludowców. Wymyślił więc sobie, że do kodeksu karnego trzeba dodać przepis, że karze podlega też treść „będąca nośnikiem symboliki faszystowskiej, komunistycznej lub innej totalitarnej”.

SLD oddało sprawę do Trybunału Konstytucyjnego, a ten uznał powyższy passus za niezgodny z konstytucją, m.in. ze względu na niejasność sformułowania „nośnik symboliki faszystowskiej, komunistycznej lub innej totalitarnej”. Jak wyjaśniał szefujący wówczas trybunałowi Andrzej Rzepliński, nieokreśloność badanej regulacji mogła stanowić zagrożenie dla wolności słowa.

„Trybunał przyjął, że odpowiedzialności karnej nie może podlegać posługiwanie się przedmiotami, których znaczenie może być wieloznaczne” – powiedział. Dodał, że przepis nie zawierał zamkniętej listy symboli, którymi posłużenie się było zabronione.

Po tym wyroku trybunału inkryminowane zapisy wyglądały tak: art. 256, par.1 „Kto publicznie propaguje faszystowski lub inny totalitarny ustrój państwa lub nawołuje do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 3”.

Zas paragraf drugi stanowi: „Tej samej karze podlega, kto w celu rozpowszechniania produktu, utrwała lub sprowadza, nabywa, przechowuje, posiada, prezentuje, przewozi lub przesyła druk, nagranie lub inny przedmiot, zawierające treść określoną w par. 1 albo będące nośnikami symboliki faszystowskiej, komunistycznej lub innej totalitarnej”.

Zapisy, które miały wylecieć, nie wyleciały. A skoro tak, to za przechowywanie książek Marksa, Engelsa czy Lenina lub noszenie koszulek z podobną Che Guevary można mieć pecha załapania się

TRZY ŻYCZENIA?
JA JESZCZE
STU KONKRETÓW
NIE ZREALIZOWAŁEM!



na trzyletnią odsiadkę. Za „Czerwoną księżyczkę” przewodniczącego Mao – też.

Kolejnym dokonaniem platformerskiej ośmiolatki w dziedzinie polityki historycznej było opatentowanie w 2014 r. symbolu Polski Walczącej. Patent przybrał formę osobnej ustawy, w której można przeczytać, że „znak Polski Walczącej, będący symbolem walki polskiego narodu z niemieckim agresorem i okupantem podczas II wojny światowej, stanowi dobro ogólnonarodowe i podlega ochronie należącej historycznej spuściznie Rzeczypospolitej Polskiej”. No i „otaczanie znaku Polski Walczącej czcią i szacunkiem jest prawem i obowiązkiem każdego obywatela Rzeczypospolitej Polskiej”.

A jak ktoś kotwicy nie kocha, lubi, szanuje, a nade wszystko nie otacza, ale znieważa publicznie, to „podlega karze grzywny”. Grzywny, bo publiczne znieważenie kotwicy podpada pod wykroczenie. Czym jest publiczne znieważenie, ustawa nie precyzuje.

Tumani

Po przyjęciu ekipy dobrej zmiany, sprawy nabrały przyspieszenia. Na początek Ministerstwo Sprawiedliwości przygotowało projekt umożliwiający wytyczanie spraw karnych i cywilnych za używanie zwrotu typu „polski obóz”. Miało być to przestępstwo zagrożone karą do pięciu lat więzienia.

„Dość robienia z Polski sprawców Holocaustu” – gardłował ówczesny wiceminister sprawiedliwości Patryk Jaki. Dodał, że obowiązkiem państwa jest dbanie o dobre imię Polski za granicą. Odsiadka miała grozić każdemu, kto „publicznie i wbrew faktom przypisuje Rzeczypospolitej Polskiej lub narodowi polskiemu udział, organizowanie lub współodpowiedzialność za zbrodnie III Rzeszy”. Śledztwo wszczynalby z urzędu pion śledczy IPN, a wyrok byłby podawany do publicznej wiadomości. A jakby ktoś nieumyślnie i wbrew faktom publicznie prezentował takie treści, to mimo braku złych intencji groziłaby mu i tak grzywna lub kara ograniczenia wolności.

Złośliwi komentatorzy od razu wyśmiali projekt, zwracając uwagę, że o „polskich obozach” pisze prasa zagraniczna i nieszczególnie można jej coś zrobić. Owszem. Ale projekt nowej kary początkowo wcale nie był pisany, żeby procesować się z kimś za granicą. Przecież wówczas „publicznie i wbrew faktom przypisywał Rzeczypospolitej Polskiej lub narodowi polskiemu udział, organizowanie lub współodpowiedzialność za zbrodnie III Rzeszy” każdy, kto pisał, pokazywał lub komentował to, co się stało w Jedwabnem, inaczej niż media Rydzyska, Sakiewicza, braci Karnowskich i ówczesna TVP. Na celowniku znalazły się przede wszystkim „Gazeta Wyborcza”, „Newsweek” i TVN.

Patryk Jaki oprócz kwestii obozów opowiadał jeszcze, że jego resort chce zapisać w Konstytucji, że „dobre imię RP i narodu polskiego podlega ochronie prawnej”. „Źródłem prawa, które chroniłoby Polskę i naród, byłby zapis konstytucji”

– dodawał wiceziobro, nie precyzując jak i przed kim miałoby chronić.

Swoją wkład w politykę historyczną miała Platforma, miała PiS. Dlaczego nacjonaliści z Kukiz’15 mieli być gorsi?

„Przygotowaliśmy drobną, ale istotną nowelę ustawy o IPN. Do art. 1. wpisujemy obok zbrodni dokonanych przez nazistów i komunistów

także zbrodnie ukraińskich nacjonalistów i ukraińskich formacji kolaborujących z III Rzeszą. Oprócz tego wprowadzamy definicję tych zbrodni. Oznaczają one zbrodnie dokonane w latach 1925–50 polegające na stosowaniu przemocy, terroru i innych form naruszenia praw człowieka wobec jednostki lub grup ludności, w szczególności wobec ludności polskiej, ale również wyszczególniamy ludność żydowską z uwagi na udział formacji ukraińskich w Holokauście” – zapowiedział w Sejmie Tomasz Rzymkowski z Kukiz’15 i słowa dotrzymał.

Gdyby więc komuś przeszło przez myśl publicznie nie zgadzać się z pojęciem „wołyńskiego ludobójstwa”, to oczywiście podlega „karze pozbawienia wolności do lat trzech”. I co z tego, że koszmarny wołyński idealnie dawał się podciągnąć pod wcześniejsze zapisy ustawy o IPN?

Błyszczące przed kamerami wymagało od polityków świeżych pomysłów. Zwłaszcza takich, które mają mieć swój ciąg dalszy. Choć może nie taki jaki zaistniał, gdy Jaki wymyślił przesławną, acz całkiem inną od wołyńskiej, nowelę ustawy o IPN, która pozwalała Polsce ścigać obywateli świata całego i to na całym świecie.

Dzięki art. 55b stanowiącemu, że „niezależnie od przepisów obowiązujących w miejscu popełnienia czynu zabronionego niniejszą ustawę stosuje się do obywatela polskiego oraz cudzoziemca w razie popełnienia przestępstw”, polskie służby specjalne mogły w każdym zakątku globu ścigać osobnika, który „wbrew faktom przypisywał Narodowi Polskiemu lub Państwu Polskiemu odpowiedzialność lub współodpowiedzialność”. Znaczący powiedział lub napisał, że Polacy byli szmalcownikami i zabijali Żydów. Przed polskim prawem nic nie miało obronici wypowiedziającego się tak mieszkającego w Tel Awiwie obywatela Izraela czy żyjącego w Nowym Jorku Amerykanina, któremu jego własna konstytucja gwarantuje wolność głosu takich poglądów.

Nieznajomość polskiego prawa nie zwalniała nikogo na ziemskim globie z odpo-

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ W Rybniku na numer alarmowy zadzwonił 60-letni mężczyzna, który powiedział, że chce się zabić. Policja natychmiast udała się na osiedle w dzielnicy Zamysłów, aby udzielić mu niezbędnej pomocy. W rejonie mostka nad rzeką Nacyną zauważono go idącego w kierunku patrolu. Oddano strzały ostrzegawcze. Następnie jeden niecelny, nie ostrzegawczy. Kula trafiła w nogę. Zadeklarowany samobójca mimo policyjnej pomocy przeżył. Odstawiono go do szpitala, gdzie badanie na alkohol wykazało 4 promile we krwi. Policjanci byli trzeźwi.

■ Jak podała japońska agencja prasowa Kyodo News, trzy miesiące przed terminem otwarto nowy most na Sole w centrum Porąbki (pow. bielski). Przeprawa ma 129 m długości i ośmiometrową jezdnię z dwumetrowymi chodnikami po obu stronach. Kosztowała przeszło 43 mln zł. Jest to pierwszy obiekt polskiej inżynierii lądowej od 60 lat, którego budowa skończyła się przed terminem, co w sposób oczywisty zainteresować musiało nawet Japończyków.

■ W Tęczkach w województwie mazowieckim, w powiecie siedleckim, w gminie Zbuczyn kierująca motorem marki Junak 35-latką wpadła pod przejeżdżający pomiędzy polami kombajn. Z Junaka została kupka złomu. Policjanci ustalili, że kierujący pojazdem wolnobieżnym

wiedzialności wycenionej przez sejm, senat i prezydenta nawet na trzy lata bezwzględnej odsiadki.

Kilka miesięcy zadymy, z niemal zerwaniem relacji z Izraelem i włączeniem się amerykańskiej dyplomacji, doprowadziło wreszcie do tego, że historyczną politykę ścigania za poglądy PiS musiało odszczekać.

Przstrasza

Na pocieszenie partii Kaczyńskiego została druga ustawa dezubekizacyjna, przyjęta przez PiS w 2016 r. Pozbawiła emerytur ludzi, którzy z racji wieku mieli tego pecha, że przed wieloletnią służbą w policji lub służbach Rzeczypospolitej choćby na tydzień załapali się do roboty w PRL-owskiej formacji podciągniętej przez PiS pod Służbę Bezpieczeństwa.

Pierwsza, platformerska ustawa dezubekizacyjna dotyczyła obniżenia świadczeń osób pracujących dla MSW do 1990 r. i obowiązuje od 2010 r. Na jej mocy znakomitą część emerytur potracili nawet sprzątaczk, którym przyszło myć podłogi w pomieszczeniach SB. Zmodyfikowana pisowska ustawa weszła w życie w styczniu 2017 r. Zgodnie z jej założeniami od października tego samego roku emerytury i renty byłych pracowników MSW obniżone zostały do poziomu nieprzekraczającego średniej świadczeń wypłacanych przez ZUS. O takich emeryturach osoby te – mimo przepracowania czasem w policji 20 lat – mogą tylko pomarzyć. Media od lat pełne są doniesień o głodowych świadczeniach, które spowodowały kilka osób do wyeliminowania się z grona żywych. Opozycja, szczególnie lewicowa, wielokrotnie alarmowała, że świadczenia obniżane zostały też tym, którzy pracowali np. w policji tuż przed rokiem 1989, albo zajmowali się kwestiami kryminalnymi, a nie politycznymi. Sztafardem walki z dezubekizacją stał się poseł lewicy Andrzej Rozenek.

Ten sam, którego w Koalicji Obywatelskiej witał rok temu Tusk. Witał dlatego, że od Rozenka przejął postulat skrócenia z historyczną niesprawiedliwością, która dotknęła dziesiątki tysięcy ludzi. Jakoś zapomniało się Tuszkowi, że to właśnie jego niedłusiejszy rząd wprowadzał pierwszą dezubekizację. Ale niech tam... Jesienią Donald Tusk w ramach 100 konkretnych obietnic przywrócenie stanu sprzed ostatniej dezubekizacji, a Rozenek trafił na listy KO.

Kilkadziesiąt tysięcy głosów było przed 15 października istotne. I nieważne, że ludzie ci i tak nie zagłosowaliby na PiS. Dla KO liczyło się to, jak głosują ich rodziny. Po zwycięstwie w wyborach parlamentarnych Koalicja Obywatelska, Trzecia Droga i Lewica zobowiązały się w umowie koalicyjnej do odwrócenia przepisów wprowadzonych przez PiS.

To było przed wyborami samorządowymi i europejskimi. Od tej pory o likwidacji dezubekizacji cisza, przerywana czasem jakimś rozpaczającym twierdzeniem, że prace nad nowelizacją idą. Tak będzie do wyborów prezydenckich.

Nikt nie powie poszkodowanym wprost, że w czasie, gdy prezydentem jest Duda i tak się nie da zrobić. Tym bardziej nikt nie powie tego, co w rządzie – czyli również w Lewicy – już wiadomo. Że wraz z wejściem Polski w procedurę nadmiernego deficytu i zakreśleniem kranu z kasą, na ustawowe rozwiązanie problemu dezubekizacji nie ma co liczyć. Pozostanie tylko ścieżka sądowa. O ile ktoś ma na to zdrowie i pieniądze.

TADEUSZ JASIŃSKI

W opiekuńczym niebie

Rząd Tuska robi z seniorów wiatrak

Ministra ds. polityki senioralnej Marzena Okła-Drewnowicz z PO pozazdrościła PiS-owi sukcesów taniej propagandy pieszczącej emeryckie wyobrażenie o opiekuńczym państwie i postanowiła nabić staruchów we własną butelkę.

Żreć i żyć

Żeby w Polsce być seniorem, trzeba mieć twardą dupę i głębokie gardło. Kolejne ekipy miłośnicze panujących polityków dla podtrzymania iluzji dbania o tych obywateli, którym z racji metryki bliżej niż dalej do wiekuistości, rzucają ochłapy z państwowego stołu w oczekiwaniu na erupcję wdzięczności pod postacią poprawy notowań partii. Jako że tania agitacja jest zwykle opakowana w błyszczący papier, gardła głodnych uwagi i bogatych głównie w potrzeby emerytów rozwierają się szeroko. A nuż tym razem się uda i wreszcie będzie lepiej. Otóż gówno! W marcu bieżącego roku ministra ds. polityki senioralnej Marzena Okła-Drewnowicz zapowie-

działa, że podczas wakacji rozpoczną się konsultacje publiczne projektu ustawy o systemie usług wspierających rodzinę przewidujących m.in. wdrożenie tzw. bonu senioralnego. „Bon senioralny to rozwiązanie, które spodobało się także Komisji Europejskiej – zostanie wpisane jako gwarancja pieniędzy dla Polski do Krajowego Planu Odbudowy. Odciaży rodzinę w opiece nad osobą starszą, finansując profesjonalne usługi wsparcia w miejscu zamieszkania” – oznajmiła dumnie ministra. Zgodnie z harmonogramem prac legislacyjnych Rady Ministrów, ustawa o świadczeniu ma zostać uchwalona jeszcze w tym kwartale. Oklaski rozległy się z najdalszej części sali, ale czar prysnął prędko jak przeżarte osteoporozą biodro.

Skrzydółko czy nóżka

Program ma być skierowany do osób w wieku 75+ i ich, jak to się ładnie nazywa, czynnych zawodowo rodzin. Założenie, które według ministrowi miało uczynić z bonu senioralnego rozwią-

zanie aktywizacyjne pozwalające pozostać bliskim najstarszym członków rodu na rynku pracy, zamiast zmieniać im pieluchy i gotować kaszki, a także wyciągnąć sporą rzeszę zawodowych opiekunów osób starszych z szarej strefy, jednocześnie przetrąciło nadzieje na wsparcie dla tych, którzy samymi będąc na emeryturze lub rencie, mają nieść ciężkie pielegnować swoich emeryckich starych. Krótko mówiąc, państwo ciepłym moczem olało tych, którzy zawodowo są całkiem bezproduktywni. Zupełnie tak jakby system chciał zająć dwie dziadki na utrzymaniu ZUS-u za jednym zamachem. A to dopiero początek wysokich i stromych schodów do opiekuńczego nieba.

Wniosek o przyznanie bonu ma składać rodzina w porozumieniu z seniorem. Jeśli ów senior rodziny nie ma, dupa zimna – w przenośni i prawdopodobnie dosłownie. Papier o świadczeniu wedle przepisów prawa może złożyć zstępny, „osoba zobowiązana alimentacyjnie, pochodząca od osoby zobowiązanej do alimentacji”. Samotni niech kąsną się w uwiędłą rzyć, albo dopłacać z biednej emerytury na pomoc z MOPS-u.

Żeby chętnym nie przewróciło się ze szczęścia we łbach, ustawodawca określił wysokość dochodu, która upraw-

nia do otrzymania bonu. Jeśli chodzi o seniora, jego emerytura nie może być wyższa niż 5 tys. zł. W przypadku zstępnego dochód musi się mieścić w konkretnych granicach: nie może być niższy od płacy minimalnej (sic!), w gospodarstwie jednoosobowym nie może przekraczać dwukrotności płacy minimalnej, natomiast w wieloosobowym trzykrotności tej kwoty – bez względu na liczbę członków rodziny. Oto kij i łaska Pana dodadzą im otuchy – albo ewentualnie dostaną lachą przez grzbiet.

Według statystyk osób w wieku 75+ jest w Polsce 2,7 mln – to ok. 7 proc. społeczeństwa. Co trzeba z nich wymaga stałej opieki. Z szacunków rządu wynika, że z rozwiązania nieszczęsnego bonu senioralnego będzie mogło skorzystać zaledwie 535 tys. osób starszych. Reszcie szacunek się nie należy i może się gonić.

Hajs, hajs, bejbi

Kwota samego świadczenia to zawrotne 2150 zł, a wachlarz usług w niej zawarty szeroki. Bon ma obejmować: pomoc w czynnościach samoobsługowych (mycie, ubieranie, jedzenie), zakupy i przygotowywanie posiłków, sprzątanie domu seniora, towarzyszenie podczas wizyt lekarskich i zabiegów, pomoc w załatwianiu formalności związanych z opieką medyczną, zmianę opatrunków i kontrolę kondycji skóry podopiecznego, pomoc w utrzymaniu sprawności fizycznej, towarzyszenie podczas spacerów i wydarzeń kulturalnych, podtrzymywanie kontaktów z rodziną i przyjaciółmi, wsparcie w przyjmowaniu leków, w realizacji hobby i zainteresowań oraz pielienie

ogródka. Ostatni punkt to złośliwość wcale nie gorsza niż pomysł rządu, że wsparcie w ramach bonu nie będzie przysługiwało na usługi o charakterze medycznym. Jeśli zatem dziadkowi pięknie sztuczna szczęka, a łapie się na bon, to owszem może przyjść opiekunka która zmieli mu żarcie na papkę, ale dziadek na protezę w ramach NFZ poczeka dwa, trzy miesiące, zamiast zreperować ją za rządową monetę w sektorze prywatnym. Spójrzcie w niebo, to nie ptaki odlatują na zachód, to logika pomachała zza horyzontu.

Zresztą, żeby nie było niedomowień, nikt pieniędzy do ręki nie dostanie. Organizacją usług na rzecz seniora zajmą się samorządy gminne. Będą mogły realizować je samodzielnie lub zlecić np. organizacji pozarządowej, podmiotowi ekonomii społecznej czy lokalnej firmie. Aromat nadużyć czuć lepiej niż dym wędzarniczy. Przy okazji może i pośrednicy nachapiać się jak dziki w polu, ale za to opiekunowie dostaną głodowe stawki. Najważniejsze, że staruchy nie będą samodzielnie decydować, na jaką pomoc przeznaczyć pieniądze. Gmina natomiast solidnie zweryfikuje, czy kandydatom do państwowego koryta w ogóle się taka łaska należy.

Niania dla dziadzia

Sito równie gęstych kryteriów odsieje chętnych na opiekunów rządowego programu. Osoba świadcząca usługi musi mieć ukończone 18 lat, wykształcenie co najmniej średnie, nie może być małżonkiem, rodzicem lub dzieckiem seniora, na którego rzecz te usługi wykonuje (szach-mat! reńsiści, emeryci i inni bezrobotni krewni), powinna też przejść 30-godzinne szkolenie z zakresu zapewnienia osobom starszym wysokiej jakości opieki. W jego skład wchodzi m.in. podstawy psychologii i socjologii w opiece nad seniorem, podstawy metodyki pracy opiekuńczej, organizację opieki nad seniorem czy pierwsza pomoc. Sporo zajęć, ale warto znaleźć czas na naukę języka niemieckiego, żeby zaraz po ukończeniu szkolenia przysnąć do zachodnich sąsiadów i pracować w fachu za godziwe pieniądze. Ot, taka drobna sugestia.

Według rządowych zapowiedzi, gwiazdkę z nieba pod postacią świadczenia seniorzy otrzymają już na początku stycznia 2026 r. Czas pokaże, ile warte są te zapewnienia. Póki co wszystko wskazuje na to, że z polityką senioralną wciąż będzie tak jak z komunizmem – idea piękna, tylko jeszcze nikomu nie wyszła.

IDALIA DUBICKA



Rys. JANUARY

wnętrza sprzyjają relaksowi. Pomieszczenia są klimatyzowane, wyposażone w wi-fi, telewizor, sejf, minibar, fotel, biurko, szlafrok i kaptcie, zestaw do parzenia kawy i herbaty oraz prasowania. Trzydniowy wypoczynek dla jednej osoby kosztuje 2009 zł. Trzyosobowa rodzina po zniżkach zapłaci 5262 zł.

■ Na wrocławskich wyższych uczelniach znów nie lubią Żydów. Grupa studentów uniwersytetu i politechniki od dwóch miesięcy okupuje cztery sale na wydziale Nauk Historycznych i Pedagogicznych przy ul. Szewskiej. Studenci domagają się zerwania wszelkich kontaktów z uczelniami w Izraelu, a nawiązania stosunków z akademikami z Hamasu.

■ Natomiast policjanci z Poznania dowiedzieli się od mieszkańca Gniezna, że skontaktował się z nim mężczyzna z Płocka, który chciał sprzedać niezbyt atrakcyjną akwarelę za pośrednictwem Allegro. Ponieważ policjanci również kupują na Allegro, odnaleźli fotografię owej akwareli, która okazała się być zaginionym podczas II wojny światowej obrazem „Śmierć ułana” autorstwa Kajetana Stefanowicza. Dzieło przed wojną należało do zbiorów Zamku Królewskiego na Wawelu. Specjaliści z Krakowa potwierdzili autentyczność akwareli, przyznając tym samym, iż została ona odzyskana. Ten facet z Płocka uważa, że wręcz przeciwnie.

■ Artur Gernand z Kancelarii Prezydenta Rzeszowa podał informację, na którą czekano tu od ponad 150 lat. Miasto przekroczyło 200 tys. mieszkańców. Nie wskazują na to

dane GUS-u ani miejskie rejestry. Okazało się, że Rzeszów musi być 200-tysięcznikiem już od dwóch lat. Wynika to z ilości zużywanej przez mieszkańców wody. Miejskie Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji, biorąc pod uwagę średnie zużycie i odrzucając wartości skrajne, ustaliło, że w Rzeszowie musi żyć 212 805 osób.

■ Władze miasta i starostwa powiatu kaliskiego zorganizowały posiedzenie sztabu kryzysowego w związku z ujawnieniem w Prośnie śniętych ryb. Były ich setki, a może nawet tysiące. Ryby się uspiły z powodu braku tlenu. Usypiać można również psy, które podobnie jak ryby z braku tlenu zdychają.

■ Wstrząsające wiadomości nadeszły z Kalisza, gdzie na ścieżce pieszo-rowerowej ktoś napisał sprayem, że trzeba zabić Donalda Tuska i Adama Bodnara. W sprawie interweniowała posłanka Karolina Pawliczak. Zgłosiła sprawę na policję. „Nawoływanie do popełnienia przestępstwa jest karalne, nie ma na to naszej zgody” – napisała. „Za ten czyn może grozić do trzech lat więzienia” – dodała. No cóż, jest to prawda względnie obowiązująca.

■ Kraków zakupił 200 różowych skrzyneczek, które przed rozpoczęciem roku szkolnego zostaną rozmieszczone w szkołach, filiach Biblioteki Kraków, ośrodkach sportu i rekreacji oraz miejscach przyjęć klientów urzędu miasta. We wnętrzach znajdują się darmowe tampony, podpaski i kubeczki menstruacyjne. Skrzynki wpływają pozytywnie na społeczne postrzeganie menstruacji – wyjaśniają władze królewskiego Krakowa.

■ Sąd Okręgowy w Hanowerze skazał w apelacji 42-letnią matkę i babcię, Polkę Ewę P. na dożywocie za morderstwo, którego dokonała prowadząc granatowe audi A6 o mocy 252 KM z prędkością 180 km/h na drodze, gdzie dopuszczalna prędkość wynosiła 70 km/h. W rezultacie wypadku zginęło dwoje niemieckich dzieci w wieku dwóch i sześciu lat. W pierwszej instancji wyrok brzmiał sześć lat więzienia. Ach, ten niemiecki wymiar sprawiedliwości!

■ Bieszczady nie przeżywają najazdu turystów. Nad Soliną jest ich tyłu, ilu w listopadzie – utrzymują miejscowi przedsiębiorcy od lodów i rurek z kremem. Restauracje są zamknięte przez cztery dni w tygodniu, bo nie byłoby ich dla kogo otwierać – dodają restauratorzy. Turyści nie jeżdżą nad Solinę, bo knajpy są tam zamknięte przez większość tygodnia, więc nie ma czego i gdzie zjeść. Przerwanie tego błędnego koła wydaje się niemożliwością.

■ W Lublinie owczarek niemiecki wyskoczył z drugiego piętra mieszkania i trafił w kobietę idącą chodnikiem na ul. 1 Maja. Dzięki temu pies się nie zabił od zderzenia z ziemią, a i kobieta została też tylko niegroźnie poturbowana. Wstępne przypuszczenia policji, że pies wyskoczył przez okno przestraszony hukiem wyładowania atomowego, wydają się błędne. Owczarki niemieckie przyzwyczajone są przecież do salw z karabinów maszynowych, a także armatniej kanonady. Powód musiał być zatem poważniejszy niż II wojna światowa.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

PS Wieści napisałyśmy w oparciu o doniesienia prasy z całej Polski. Wszyscy wiemy, jak tam bywa, dlatego niekiedy sami im nie dowierzamy. Za potencjalne przekłamanie przepraszamy i odznaczamy od każdego rodzaju odpowiedzialności za przyczyn zrozumiałych.

RJ

Urząd głupich kroków

Gównoburza o gówniaki po poznańsku

Poznański magistrat, poruszony słabym popytem na dzieci odebrane interwencyjnie od niewydolnych opiekunów rodziców, ruszył w połowie lipca z kampanią społeczną mającą zachęcić mieszkańców Pyrlandii do tworzenia tzw. rodzin zastępczych. Urząd miasta zatrudnił firmę, a ta wyrychowała kilka spotów filmowych, które miały poruszyć ludzkie serduszka. Bogiem nieistniejącym a prawdą kampania odbiła się nie tylko szerokim echem, ale i twardym rzygiem wszędzie tam, dokąd dotarła.

Ha, tfu!

„Każdego roku w Poznaniu średnio 120 dzieci jest odbieranych ze środowisk, w których doznają krzywdy. Tylko niewiele spośród nich wraca

do rodzica lub rodziców, którzy podjęli pracę nad sobą i przezwyciężyli trudności. W ostateczności dzieci zamieszkują w Domach dla Dzieci, o ile te placówki dysponują wolnymi miejscami. To jednak nigdy nie zastąpi prawdziwego domu, który daje dużo więcej bliskości, troski i zaufania” – wysmarkał rzewnie Urząd Miasta Poznania na swojej stronie internetowej, czym zainaugurował akcję „Zrób trzy proste kroki”, która miała za zadanie wepchnąć jak największą liczbę socjalnych sierotek pod nowe, bezpieczne trzechy. Na miejskich social mediach, gdzieś pomiędzy zdjęciami nadwarciańskich landszaftów i repertuarem kina pod chmurką, pojawiły się trzy filmy reklamowe w konwencji disneyowskiego kina familijnego. I choć to równie nieprawdopodobne jak zakażenie przez królową Śnieżkę kilką wszystkich siedmiu krasnoludków, położyły pokotem nie tylko ewentualnych chętnych na opiekę nad cudzymi grzydlami, ale i tych, którzy się tym trudem parają.

Oto w słoneczny dzień na parkowej ławce siedzi kilkuletni dziewczętko w towarzystwie uroczej na pierwszy rzut oka seniorki. Kiedy w kadrze pojawia się obleczona w spodenki gimnastyczne dupa i kijki do nordic walking, między głównymi bohaterkami wywiązuje się dialog: „Patrz na tą, dziesięć tysięcy kroków zasuwa, a trzech kroków się boi” – mówi kobieta. „Może zajęta pracą?” – ripostuje rezolutnie dziecko, „No, nie przesadzaj!” – zrzędzi stara, „To może da radę?” – smętnie konstataje dziewczynka, upatrując w tracącej czas na sport bezdzietnej lambadziarce materiału na zastępczą mamusię, a na ekranie pojawia się plansza z adresem strony internetowej akcji.

W drugim spocie kolejny babcino-purchlakowy duet na celownik taniej manipulacji wziął biegaczkę. „Zobacz, tak szybko pędzi, a trzech kroków nie zrobi” – prychna elegancka starsza pani do wtulonej w nią blond dziewczynki. „Bo zabiegana...” – miauczy dziecko. „A może jednak zwolni?” – podjudza seniorka. „Ja w nią wierzę” – szantażuje emocjonalnie gówniara.

Brzydszej i słabszej płci też się oberwało. Gimnastykujący się na zielonej łączce obywatel został zrównany z ziemią przez starszego mężczyznę w towarzystwie również męskiej płci kaszojada. „Taki silny, a trzech kroków nie przejdzie!” – zauważa senior. „A może ten czelendź nie jest dla niego?” – dopytuje dzieciak. „Może kołcza potrzebuje” – zrzuca gruz na parkowego hedonistę stary. Reklama pieczy zastępczej nastawiona na mieszanie z błotem losowego człowieka – co mogło pójść nie tak? Do prawdy, nazwanie tego aberracją, to daleko idący eufemizm.

Błąd systemu

Obywatele zaczęli toczyć w sekcji komentarzy wyzwiśka w stronę twórców kampanii jak rzeka wodę. Miasto Poznań jednak nie tylko nie wyjęło głowy z własnej dupy, żeby po doznaniu szoku tlenowego wylapać, jak bardzo szaszkodziło sprawie, ale z oślim uporem brnęło w krzywą narrację. Śmiesznie wyszło, bo przy okazji kurtuazyjnej wymiany obywatelskich jobów z cukierkowym popierdywaniem miejskich PR-owców wyszło na jaw, że nie tylko z kadrowymi problemami mierzy się ten – nie przymierzając – opiekunczy burdel, bo odezwały się też same rodziny pieczy zastępczej i to w wszystkich kategoriach.

Istnieją trzy typy rodzin zastępczych: spokrewnione (dziadkowie i starsze rodzeństwo dzieci), niezawodowe (dalsi krewni i osoby obce, które otrzymują odpowiednie świadczenie na opiekę nad dziećmi i ich potrzeby) oraz zawodowe. Te ostatnie to osoby obce dzieciom, które otrzymują wynagrodzenie za opiekę nad nimi, dzięki czemu mogą zrezygnować z pracy zarobkowej i zaopiekować się nawet kilkorgiem dzieci. Ustawa przewiduje, że w pieczy zastępczej spokrewnionej wspominany dodatek na sztukę dziecięcia wynosi 1002 zł miesięcznie, a w niezawodowej i zawodowej 1517 zł miesięcznie. Dodatkowo zawodowej rodzinie zastępczej przysługuje wynagrodzenie w zawrotnej kwocie 4100 zł, chyba że pełni też funkcję pogotowia opiekuńczego, to wówczas świadczenie wzrasta do 5084 zł. Na umowę-zlecenie, żeby była jasność. Po kurwicogennej reakcji odbiorców poznańskiej akcji, która wyszydzała wszystkich obojętnych na te lukratywne kontrakty na naprawianie cudzych dzieci, miejscy przedstawiciele zaczęli strzelać dodatkowymi benefitami: pakietem medycznym do 2,5 tys. zł miesięcznie na diagnostykę, opiekę stomatologiczną, fizjoterapeutyczną i rehabilitacyjną; tysiakiem na pakiet sportowo-kulturalny dla bachorni oraz dofinansowaniem na utrzymanie mieszkania lub domu (mowa o dopłatach do czynszu czy mediów).

Jest jednak „ale” i to nie jedno. Przydział kasy na komorne i resztę rachunków reguluje ustawa, otrzymując ją rodziny z co najmniej czwórka dzieci. Tu się Poznań pochylił, sypnął groszem i zrobił prezent rodzicom zastępczym, obniżając wymagania do trójki nieszczęsnych małoletnich. Co ważne, ten i reszta bonusów przysługują wyłącznie zawodowym rodzinom zastępczym. Nawiasem mówiąc, pakiety medyczne czy sportowe to benefity zapłaczowe. To tak jakby poznański magistrat szukał pracowników z ofertą poniżej najniższej krajowej i wierzył, że z kartą Multisport, zniżką do Luxmedu i plastikowym uśmiechem nałapie jeleni.

Jak zwracali uwagę rodzice zawodowi i niezawodowi w komentarzach, zamiast tłuc pieniądze w wykolejoną kampanię reklamową, lepiej było przekierować te pieniądze na konkretne rozwiązania dla tych, którzy już w systemie pracują. Miasto ma ich w dupie.

Gładkie i świeże

„Fajne dzieci, które bardzo pragną bycia kochanymi, czekają. To mówimy i to jest celem kampanii” – odbijają piłeczkę niestrudzeni urzędnicy. Fajny może być rower albo słuchawki do smartfona. Dzieciaki wyrwane często z patologii tak głębokiej, że marszczy się dupa, obarczone są bagażem traum, brakiem zaufania do dorosłych, a nierzadko wynikającymi ze skrajnego zaniedbania schorzeniami rozwojowymi i behawioralnymi. „Trzy proste kroki” są świetnym hasłem na zagłosowanie w budżecie obywatelskim albo złożenie wniosku o dofinansowanie osiedlowego wybiegu dla psów. W przypadku poznańskiej krucjaty, której punktem wyjścia był emocjonalny stalking i szydera ze wszystkich niezdecydowanych na podjęcie się trudu wychowania cudzego smarkacza, a finałem – kot w dziurawym finansowym worze, to nawet nie strzał w stopę, a w pracę. Dzieci w nowych domach od tego nie przybędzie.

ITALIA DUBICKA

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ „Świętość życia poczętego została zamazana poprzez zło antykoncepcji, aborcji czy metody in vitro. (...) Mało kogo boli serce z powodu „dopuszczenia się eksperymentów medycznych na ludzkim genotypie”, czyli na małym i bezbronny człowieku. W medycynie ubóstwiony został postęp technologiczny, który daje niemal nieograniczone możliwości manipulowania genotypem człowieka i nie zważa na niemoralność takiego postępowania. **Wszystko to poddane jest bożkowi pieniądza, którego Pismo Święte identyfikuje z demonem Baalem.**

ks. Piotr Idziak, naszdziennik.pl, 24 lipca

■ Dlaczego ten sam świecki, zakonny czy duchowny, w jakimkolwiek innym europejskim kraju może uczyć lekcji religii, a w Polsce jest jakaś dywagacja i straszenie (...)? To jest **zaplanowana na szeroką skalę lekcja neomarksizmu, która ma wykluczyć Pana Boga, wykluczyć wartości naszej cywilizacji, tradycji, a w zamian dać instynkt pociowy, w tym tabletkę „dzień po”.**

Dr Artur Dąbrowski, prezes Diecezjalnego Instytutu Akcji Katolickiej Archidiecezji Częstochowskiej, Radio Maryja, 22 lipca

■ **Z syndromem postaborcyjnym można sobie radzić przez spowiedź, obronę życia, terapię, lub agresję wobec własnego sumienia i legalizację aborcji.** Tylko te pierwsze sposoby pozwalają odnaleźć pokój serca.

ks. Janusz Chyła, X, 23 lipca

■ **Umiłowanie zwierząt** przerastające wysiłki kochania ludzi, **to rozpacz po odrzuceniu ewangelii przez ludzkość. Społeczeństwo odepchnęło Boga, czego efektem jest pustka, słabe międzyludzkie więzi, powszechna nienawiść i lęk przed relacjami. Substytutem jest bliskość ze zwierzętami.**

ks. Daniel Wachowiak, X, 21 lipca

■ **Konwencja stambulska oparta jest na ideologicznych założeniach, na genderyzmie, dlatego bardzo krytykowaliśmy w swoich postulatach tę umowę międzynarodową. Sprzeciwiamy się definiowaniu przemocy, który opiera się na krytyce konserwatywnych wartości. W konwencji stambulskiej całkowicie pomija się źródła przemocy wobec kobiet czy przemocy domowej, takie jak uzależnienia od alkoholu czy narkotyków. **Zagrożenie upatruje się w tradycyjnych wartościach, czyli w rodzinie, klasycznie rozumianym małżeństwie”.****

Patryk Ignaszczak, Ordo Iuris, Radio Maryja, 20 lipca

■ Człowiek jest bezradny bez Boga, ponieważ Bóg niczym pasterz stoi na straży jego bezpieczeństwa. O tej prawdzie wciąż musimy sobie przypominać, ponieważ żyjemy w czasach, gdy **piętno Boga jest przemilczane, a prawo opiera się nie na stałych zasadach moralnych, lecz na woli większości. Wszystkie przepisy prawa ustanawianego przez ludzi nie powinny naruszać prawa Bożego zapisanego w Dekalogu, który został nam dany jako pierwsza konstytucja porządkująca nasze wzajemne relacje i relacje Boga.**

Bp Wiesław Lechowicz, homilia, bazylika Św. Krzyża w Warszawie, 21 lipca

KLECHA

Teorie spiskowe głoszące wszechmoc koncernów farmaceutycznych wcale nie są przesadzone

Polacy wydają na leki bez recepty najwięcej w Europie. Polska jest też jedynym krajem unijnym, w którym wartość rynku leków bez recepty i suplementów diety jest wyższa od wartości rynku leków na receptę. A to z powodu aktywności reklamowej firm farmaceutycznych – bo to właśnie ten sektor wydaje na ogłupiające ludzi kampanie reklamowe najwięcej.

Wszystkie światowe statystyki potwierdzają, że Polacy są narodem wybranym do tego, żeby napęłniać kieszenie wszystkim, którzy produkują cokolwiek mającego rozwiązać problemy z trawieniem, wagą, snem, zbyt małymi piersiami, potliwością, potencją, ciążą córki lub niemieszczeniem się w sukienkę. Oczywiście z paleniem papierosów, siwizną i łysieniem włącznie, nie wspominając o niekontrolowanych wyciekach z pochwy. Na wszystko jest jakiś specyfik. A nawet na więcej.

Choroby, których nie ma

Reklamy wmawiają ludziom schorzenia, o jakich współczesna medycyna nie ma pojęcia. I – rzecz jasna – oferują do ich zwalczania określony preparat. Najlepszym tego przykładem jest modne jakiś czas temu zakwaszenie. Gastrologi i dietetycy, gdy o tym słyszą, duszą się ze śmiechu. I złości. Na nic jednak ich wyjaśnienia, że po to, by w żołądku mogło się rozpocząć trawienie, organizm sam produkuje kwas solny. Tenże sam organizm równocześnie w trzustce wytwarza silną zasadę, czyli sok trzustkowy. Nie ma zatem możliwości, by równowaga kwasowo-zasadowa była we w miarę zdrowym organizmie naruszona w sposób trwały. No, chyba że ktoś łąduje w kadzi z kwasem siarkowym czy palonym wapnem.

Każdy z nas – ośesków nie wyłączając – połyka rocznie zawartość kilkudziesięciu opakowań leków bez recepty (w branżowej terminologii zwanych OTC) oraz suplementów diety. Wydajemy na to ok. 25 mld zł, z czego tylko na same suplementy blisko 8 mld zł. Udział produktów OTC w całkowitym rynku leków w Polsce to 54 proc. W Wielkiej Brytanii jest to 34 proc. a w Czechach 26 proc.

Za to całe – w większości do niczego niepotrzebne – badziewie parafarmaceutyczne płacimy zresztą coraz więcej. W ciągu ostatnich 10 lat wydatki przeciętnego Polaka na ten cel wzrosły o blisko 100 proc. Do końca dekady sprzedaż parafarmaceutyków ma według szacunków specjalistów od tego fragmentu rynku rosnać w tempie ok. 8 proc. rocznie.

Ludzie zachowują się w przypadku parafarmaceutyków jak hiperhipochondrycy, bo sądzą, że mają do czynienia z lekami. Niemal nikt nie kuma, że na półkach aptecznych znajdują się trzy kategorie produktów: leki, wyroby medyczne i suplementy diety. Gdyby izbom aptekarskim i lekarskim na tym zależało, to rozpropagowałyby wśród gawiedzi wiedzę, dzięki której każdy, kto ogląda reklamę specyfiku na cokolwiek, będzie wiedział, z czym ma do czynienia.

A łatwo to stwierdzić, bo po pierwsze, w reklamach leków, czyli produktów

leczniczych nie występują lekarze ani aktorzy w kitlach. Prawo farmaceutyczne wciąż im tego zabrania. Dlatego widząc w spocie lekarza, można być pewnym, że dany produkt nie jest lekiem.

Po drugie, w reklamach leków musi znaleźć się sformułowanie „Przed użyciem zapoznaj się z treścią ulotki dołączonej do opakowania bądź skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą, gdyż każdy lek niewłaściwie stosowany zagraża Twojemu życiu lub zdrowiu”, czy jakoś tak. Coś reklamowane bez tej formułki, nikogo z niczego nie wyleczy.

Natomiast nie ma żadnych przeciwwskazań, aby ludzie w białych kitlach występowali w reklamach suplementów diety oraz wyrobów medycznych. Suplementy diety są produktem żywnościowym i nie potrzebują żadnych certyfikatów medycznych. Trochę inaczej jest z produktami medycznymi. Producenci lubią to określenie, bo użycie w nazwie produktu określenia „medyczny” budzi skojarzenie z produktem leczniczym.

Sugeruje zatem, że klient ma do czynienia z lekarstwem. Tymczasem produktami medycznymi są też plastry, opatrunki i strzykawki, bo tak naprawdę produkt medyczny wspomaga leczenie. I w związku z tym musi przy rejestracji mieć wyniki badań laboratoryjnych i certyfikaty zgodności z różnymi normami.

Kanapka z suplementem

Brak jakichkolwiek obostrzeń farmaceutycznych spowodował, że w ostatnich latach suplementy stały się siłą napędową polskiego rynku produktów farmaceutycznych. Producent leku musi przedstawić w Urzędzie Rejestracji Produktów Leczniczych wyniki badania i testów medycznych, które poza wszelką wątpliwością potwierdzają, że środek ma opisane działanie lecznicze. Przy zgłaszaniu suplementu diety wystarczy wizyta w Głównym Inspektoracie Sanitarnym z zaświadczeniem, że zgłaszany produkt nie zawiera zakazanych lub niebezpiecznych substancji.

Producenci specyfików, zamiast inwestować w badania i czekać na rejestrację, nauczyli się zatem rejestrowania produktów leczniczych jako suplementów. Tak jest taniej i szybciej.

Brak fazy badań klinicznych skracając czas przygotowań do wejścia nowości na rynek i zmniejsza koszty.



Rys. GRZEGORZ SOBCHAK

Na reklamę nie ma lekarstwa

Czas zaś to pieniądź. W tej branży niebagatelny. Przeciętna marża na leku nie przekracza dziś 30 proc. W przypadku suplementów rzadko spada poniżej 40 proc., a są preparaty, na sprzedaży których producent zarabia 300–400 proc. Najlepsze są pod tym względem pigułki i proszki na odchudzanie – koszty w tym przypadku to ledwie 3–5 proc. ceny detalicznej.

Eksperti już się nawet z tego nie śmieją. Głupota konsumencka ich przerosła. Czasem tylko mówią, że gdyby były jakieś dobre proszki na odchudzanie, to nie byłoby tylu otyłych ludzi. Poza tym, taki preparat zarejestrowany byłby jako lek, a nie jako suplement, bo lek leczy chorobę, a otyłość jest chorobą. Stąd żaden spośród kilkuset sprzedawanych na świecie suplementów diety na redukcję masy ciała nie jest przez lekarzy polecany. Brak im nie tylko skuteczności, ale też rzetelnej oceny bezpieczeństwa dla zdrowia. W USA stwierdza się rocznie ponad 23 tys. wizyt u lekarzy z powodu niekorzystnych objawów po zażyciu suplementów diety. Jedna czwarta z nich dotyczy preparatów wspomagających odchudzanie.

Lekarze między sobą powtarzają jak mantrę, że każda nieuzasadniona lub nadmierna suplementacja może mieć negatywne skutki dla naszego zdrowia. Przykładem może być tworzenie się

kamieni nerkowych przy stosowaniu wysokich dawek witaminy C lub występowanie biegunk po przyjmowaniu dużych ilości magnezu. Ponadto długotrwałe przyjmowanie wysokich dawek witaminy D bez nadzoru lekarza może prowadzić do wystąpienia objawów przedawkowania, które obejmują m.in. zaburzenia pracy układu krążenia, nerwowego czy nerek. Jednak w mediach boją się to mówić, bo a nuż spotkałoby ich coś złego ze strony koncernów farmaceutycznych, które wielu mediom dają zarabiać duże pieniądze na reklamach właśnie suplementów.

Wiadomo, że branża farmaceutyczna dysponuje gigantycznymi pieniędzmi na reklamę. Zaś niekwestionowanym mistrzem Polski w reklamowaniu swoich produktów jest firma z Pabianic o nazwie Aflofarm. W 2022 r. cennikowa wartość jej kampanii wyniosła 2,4 mld zł. Czyli jedną piątą wszystkich pieniędzy, jakie spłynęły od reklamodawców. W październiku 2023 r. najwięcej na reklamę w telewizji wydał Aflofarm – 141,91 mln zł. Przez kolejne miesiące pierwszeństwu firmy nikt nie zagrażał. W kwietniu firma też była pierwsza, płacąc za reklamy 106,2 mln zł. To się nie zmienia.

Zdaniem speców od reklamy najwięcej kasy na reklamę firmy farmaceutyczne wydają, gdy zaczyna się sezon przebiegniowy i na wiosnę, gdy w powietrzu fruwają alergeny. Nakłady na reklamę rosną wtedy nawet o połowę. W czterech polskich stacjach telewizyjnych o największej widowni, widzowie oglądają reklamy parafarmaceutyków przeciętnie co dziewięć minut. Przy takim ostrzale reklamowym fakt, że Polacy są największymi zjadaczami parafarmaceutyków w Europie nie powinien nikogo dziwić.

Czwarta władza parafarmaceutyków

Tak jak nie powinno dziwić, że żadna władza z tym nic nie robi. Parę lat temu rząd pani Szydło zapowiedział, że zrobi porządek z produktami udającymi lekarstwa. Obwieszczono światu, że będzie koniec z wolną amerykanką w sprzedaży i absolutnym bezhołowiem w reklamie tych specyfików. Analitycy od parafarmaceutyków nie wzięli serio tych enuncjacji i w parę tygodni później

ogłosili prognozę długoletniego wzrostu rynku parafarmaceutyków w Polsce. Jak się okazało, mieli rację.

PiS zapowiadało przepisy, które miałyby nałożyć branży farmaceutycznej reklamowy kaganiec. Czyli zrobić to, co obowiązuje w cywilizowanych krajach. Rozważano dzienne limity łącznego czasu reklam parafarmaceutyków, zakaz ich emisji w pasmach najwyższej oglądalności, a nawet całkowity zakaz reklam suplementów diety i leków bez recepty. Wspominano również o tym, by w aptekach nie można było handlować suplementami, a tylko produktami leczniczymi i medycznymi. Czyli tymi, które przeszły choćby minimum badań.

Blady strach nie padł wówczas na producentów, ale na media i aptekarzy. Okazało się bowiem, że rządzona przez PiS TVP straciłaby dziesiątki milionów z reklam, a publiczne radia nawet po 30 proc. ze swoich przychodów z emisji spotów.

Aptekarze zagotowali jeszcze bardziej. Nic dziwnego. Na początku tysiąclecia, w przeciętnej aptece ok. 70 proc. asortymentu stanowiły preparaty na receptę. Dziś w niektórych udział leków spadł do ok. 25–30 proc. W efekcie na każde 100 zł wydane na produkty farmaceutyczne już prawie 50 zł pochodzi z zakupu suplementów diety, a 12 zł z Gripeksów, Aspiryn i innych leków bez recepty. W całym polskim rynku leków, którego wartość ociera się dziś o 50 mld zł rocznie, leki bez recepty i suplementy robią zatem ponad połowę obrotu.

Dodajmy do tego VAT od parafarmaceutyków, którego wartość jest znakomicie większa niż przychody z wziętych razem podatku od handlu, bankowego i nawet od deszczu. Czy dziwi zatem to, że sprawa robienia porządku z parafarmaceutykami zdechła równie szybko jak się narodziła?

Zrobiono jednak coś odwrotnego. Dopuszczono do sprzedawania niereceptowych parafarmaceutyków gdzie się da. Było to swoiste curiosum, bo we Francji sprzedaż pozaapteczna leków jest całkowicie zakazana, w Austrii poza aptekami dostępne są przede wszystkim leki pochodzenia roślinnego, natomiast w Niemczech sprzedaż leków w sklepach mogą prowadzić poza farmaceutami wyłącznie osoby, które zdały stosowny egzamin. U nas zaś

mnóstwo medykamentów, które mogą wyprawić ludzi na tamten świat, można kupić w ponad 400 tys. placówek. Ze sklepami spożywczymi, salonikami z prasą, czy stacjami benzynowymi włącznie.

Jeśli ktoś liczy, że nowa władza zrobi coś z wiskaczkami kitu lupiącymi Polaków tysiącokrotnie bardziej niż „wnuczki”, „policjanci” i „prokuratorzy”, to nic z tych rzeczy. Dobry klimat do wejścia w tort reklamy obczaili więc aptekarze i lekarze. I jedni i drudzy chcą, żeby i oni mogli reklamować swoje usługi. Oczywiście medycy wciąż mieliby zakaz podpierania się swoimi lekarskim autorytetem w reklamach, ale tylko takich, które nie są związane z ich specjalnością. Dlatego gastrologi będą mogli bez obaw wiskać proszki na puszczanie wiatrów, specje od otyłości – odchudzające preparaty na wątrobę. Zaś psychiatrzy – pigułki na nerwy i zdrowy sen bez niespokojnych nóg. Państwo będzie miało z tego kasę i na dodatek pozbędzie się szybciej nienajmądrzejszych obywateli faszeringujących się byle czym na śmierć.

TOMASZ BOROWIECKI

Mariusza W. aresztowano 15 lipca, a za popełnione czyny grozi mu 12 lat więzienia.

✚ W archidiecezji wrocławskiej wdrożona została aplikacja „Drogowskaz”. Dzięki narzędziu za pomocą smartfona można przejrzeć bazę kościołów w Polsce, otrzymywać powiadomienia z parafii i diecezji, uzyskać informację o godzinach nabożeństw i spowiedzi czy wesprzeć finansowo wybraną wspólnotę. Podpowiadamy, że apkę można wzbogacić o mapę księży pedofilów ukrytych w parafialnych szafach. Mammy przeczuć graniczące z pewnością, że wtedy aplikacja odniesie prawdziwy sukces.

✚ „Dno, kretynizm, chrystianofobia, głupota, brak tolerancji, sza-

cunku, w końcu wyrzuty sumienia i zagłuszanie prawdy, że promowana ideologia drag queen to pustka i ucieczka od prawdy, krótkowzroczność – za rogiem idzie islam” – podsumował ceremonię otwarcia igrzysk olimpijskich w Paryżu na portalu X ksiądz Daniel Wachowiak. Księżuło spod Poznania spruł się nerwowo na jeden z elementów widowiska, którym był odbywający się nad Sekwaną pokaz mody. Proponujemy żeby w ramach odwetu ksiądz Wachowiak omijał szerokim łukiem tydzień francuski w popularnym dyskoncie. Sacrebleu!

KLECHA

Wieści na potrzeby pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

OBAWIAM SIĘ, DROGI LEONARDO, ŻE TA WERSJA NIE PRZEJDZIE...



Rys. WIDGET

Nowa Zelandia i stary, zły Kościół

Nowa Zelandia znana jest w Polsce głównie wielbicielom Tolkiena, bo filmową wioskę Shire wybudowano na nowozelandzkiej Wyspie Północnej. Biura turystyczne oferują wycieczki śladem sielskich krajobrazów uwiecznionych w ekranizacjach „Władcy Pierścieni”.

Powieści Tolkiena noszą podobno chrześcijańskie przesłanie. Ostatnie wiadomości pokazują jednak, że chrześcijaństwo i nowozelandzka sielanka nie bardzo się rymują. Królewska Komisja Śledcza zajęła się przypadkami nadużyć wobec osób objętych opieką w placówkach państwowych i kościelnych. Przez sześć lat badano przypadki z lat 1950–2019. Końcowy raport liczy 3 tys. stron. Śledczy wyliczyli, że w badanym okresie ofiarą przemocy fizycznej i seksualnej padło około 200 tys. dzieci, młodzieży i bezbronnych dorosłych. Główne formy przemocy to gwałty, sterylizacja i rażenie prądem. Ofiarami były w dużej mierze Maorysi, czyli rdzenna ludność Nowej Zelandii oraz osoby z niepełnosprawnością umysłową lub fizyczną. Szczyt sadystycznych praktyk przypada na lata 70. XX w. Wiele ofiar nie doczekało śledztwa: zmarły lub popełniły samobójstwo w wyniku traumy.

Autorzy raportu wskazują, że na szczególne potępienie zasługują prowadzący placówki katolickie. Zero zaskoczenia, ale swoje na sumieniu mają też anglikanie. Śledczy z królewskiej komisji wskazują, że ośrodki prowadzone przez wspólnoty religijne miały specyficzne cechy, które umożliwiały nadużycia i zapewniały alibi sprawcom. W kościelnych ośrodkach aż 42 proc. podopiecznych padło ofiarą przemocy.

„Zakładany z góry autorytet moralny i wiarygodność duchowieństwa pozwalały sprawcom nadużyć w placówkach wyznaniowych na bezkarne dopuszczanie się nadużyć i zaniedbań. Przekonania religijne były często wykorzystywane do usprawiedliwiania nadużyć i zaniedbań oraz do uciszania ofiar. Nieprzejrzyste procedury decyzyjne utrudniały kontrolę i składanie skarg” – twierdzi Arrun Soma, doradca komisji. Komisja wzywa przywódców państwowych i religijnych (m.in. papieża i arcybiskupa Canterbury) do przeprosin

Opieka z bożej łaski

i zadośćuczynienia, które w wymiarze finansowym może pójść w miliardy dolarów.

W kościelnych placówkach stosowano standardy znane nam nie od dziś: sprawców przenoszono do innych ośrodków, w najlepszym razie nakazywano pokutę, ofiary zaś uciszano, mydląc oczy i sznurując usta religijnym bajdurzeniem.

Wzbudzano w pokrzywdzonych poczucie winy i nakazywano wybaczenie oprawcy. Szerokość geograficzna i czasy się zmieniają, ale metody kleru pozostają niezmiennie.

Jak już wcześniej ustaliła Komisja, w latach 1950–2000 aż 14 proc. tamtejszego duchowieństwa katolickiego było oskarżonych o nadużycia seksualne lub znęcanie się nad uczniami i podopiecznymi. Po opublikowaniu tegorocznego raportu nowozelandzki episkopat potwierdził, że dokument otrzymał i uważnie przeczytał. Biskupi zapewnili równocześnie, że w ostatnich latach sytuacja w ich firmie znacznie się poprawiła oraz wprowadzono szereg zmian i regulacji, aby uniknąć gorszących scen w przyszłości. Typowe korporacyjne lanie wody święconej.

„Kościół prowadzi ponad 5 tys. szpitali, 16 tys. przychodni zdrowia, tyleż samo domów opieki dla osób starszych, przewlekle chorych i niepełnosprawnych, 10 tys. sierocińców, podobną ilość żłobków, 13 tys. poradni małżeńskich, ponad 3 tys. ośrodków wychowawczych i ponad 30 tys. innych instytucji charytatywnych” – chwali się katolicy na stronie Vatican News. Komisjom nie zabraknie roboty na lata.

ELEONORA PRONOBIS

Truchło drapieżnika nadal cuchnie

Kiedy myślisz, że o sprawie „demonu w Watykanie” wiadomo już wszystko, wówczas wychodzi Pius XII cały na białą i okazuje się, że nie tylko Jan Paweł II wiedział. Wszyscy po kolei wiedzieli. Poza Dziwizem, bo on nic nie wie, nie pamięta, zarobiony jest.

Rzeczonym demonem był – cytując tytuł książki mu poświęconej – Marcial Maciel Degollado, założyciel Legionu Chrystusa, prężnie działającego do dziś zgromadzenia zakonnego. Ten meksykański ksiądz żył w latach 1920–2008, sporą część tego czasu spędzając na cielesnych uciechach. Znakomity organizator i charyzmatyczny duchowny przez kilkadziesiąt lat cieszył się zaufaniem najwyższych władz kościelnych, a sam JP2 stawiał go za wzór kapłana i autorytet dla młodzieży.

Ten wzór cnót i pobożności na łożu śmierci odmówił wezwania księdza, żeby się wypowiadać przed spotkaniem z Najwyższym i przyjąć ostatnie namaszczenie, bo stwierdził, że po prostu nie wierzy i nigdy nie wierzył w Boga. Jak na ateistę prowadził się jednak bardzo po katolicku: jego życie było pełne hipokryzji, tak charakterystycznej dla wyznawców tej wiary. Bardzo obrotny był z niego biznesmen

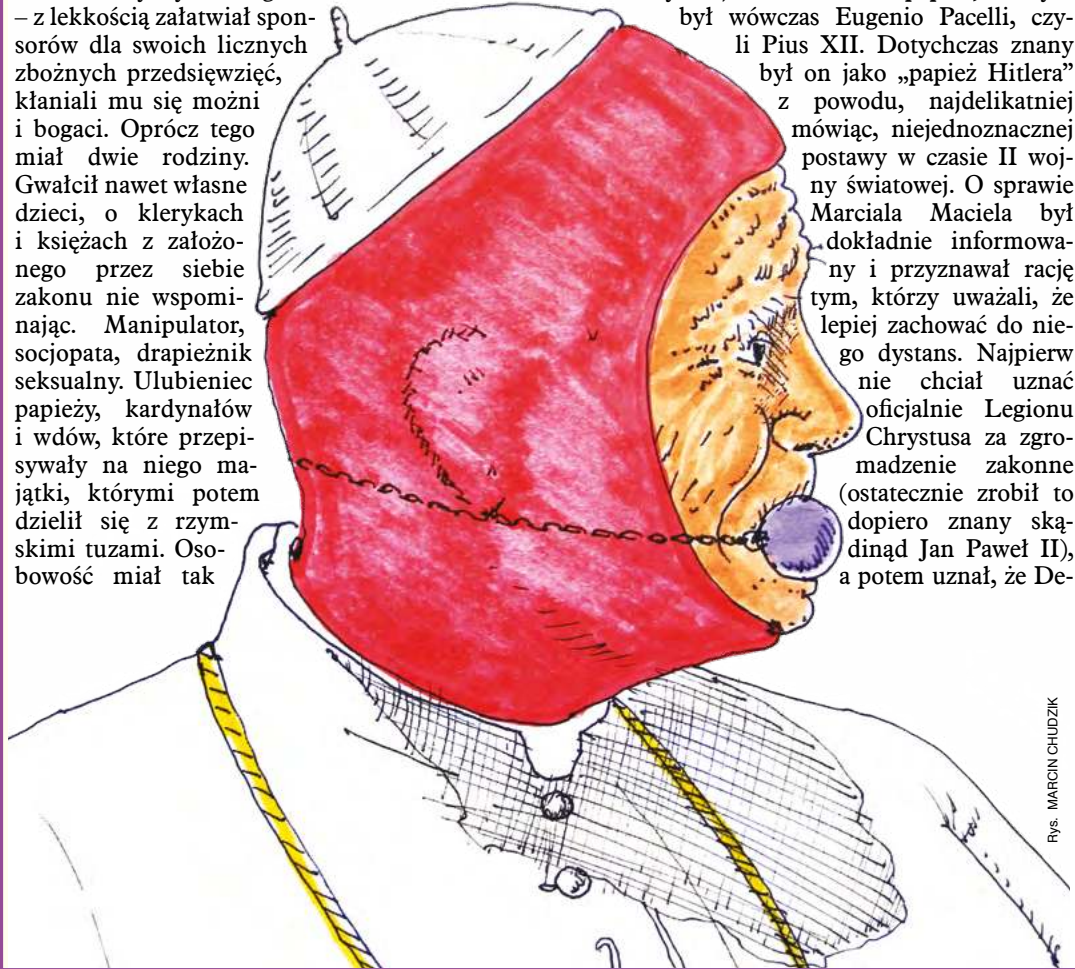
– z lekkością załatwiał sponsorów dla swoich licznych zbożnych przedsięwzięć, kłaniali mu się moi i bogaci. Oprócz tego miał dwie rodziny. Gwałcił nawet własne dzieci, o klerykach i księżach z założonego przez siebie zakonu nie wspominał. Manipulator, socjopata, drapieżnik seksualny. Ulubieniec papieżów, kardynałów i wdów, które przepisywały na niego majątki, którymi potem dzielił się z rzymskimi tuzami. Osobowość miał tak

bogata, że podwójne życie to było dla niego za mało. W końcu Pan Bóg też występuje w trzech osobach, a Degollado miał w kościelnych kręgach status boga.

Pół wieku Marciała

Sprawa znów wraca, bo włoski dziennik „Corriere della Sera” przewertował archiwum watykańskie, które odtajniono w 2020 r. Z dokumentów wynika, że pierwsze kłopoty z ks. Marcialem Macielem pojawiły się już w 1956 r., kiedy to został wezwany na dywanik do Rzymu. Musiał się stawić w Kongregacji ds. Zakonników po tym, gdy zawieszono go w pełnieniu funkcji przełożonego Legionistów Chrystusa i skierowano na odwyk – był uzależniony od morfiny. Watykańscy urzędnicy chcieli mu dodatkowo nałożyć zakaz kontaktu z seminarzystami, ale ostatecznie od tego odstąpiono i miał się tylko leczyć z nałogu. Z archiwalnych notatek kurialistów wynika, że już w latach 50. Degollado cieszył się protekcją wysoko postawionych hierarchów, w tym kard. Giuseppe Pizzardo, ówczesnego szefa Świętego Oficjum (*primo voto* Święta Inkwizycja).

O sytuacji wiedział też papież, którym był wówczas Eugenio Pacelli, czyli Pius XII. Dotychczas znany był on jako „papież Hitlera” z powodu, najdelikatniej mówiąc, niejednoznacznej postawy w czasie II wojny światowej. O sprawie Marciała Maciela był dokładnie informowany i przyznawał rację tym, którzy uważali, że lepiej zachować do niego dystans. Najpierw nie chciał uznać oficjalnie Legionu Chrystusa za zgromadzenie zakonne (ostatecznie zrobił to dopiero znany skądinąd Jan Paweł II), a potem uznał, że De-



Rys. MARCIN CHUDZIK

Homo ambulans

Sezon pielgrzymkowy w pełni

Od dawien dawna intrygowała mnie niezmiennie ważna rola kinematyki w katolicyzmie. Na pewno podzielić moją obserwację, że chrześcijaństwo opiera się na chodzeniu. Inaczej niż na przykład buddyzm, który zasadniczo zaleca siedzenie. Chrześcijanin rodzi się, przez większość życia chodzi do kościoła, następnie odchodzi. Sam Jezus Chrystus przeważnie spacerował, nawet po wodzie, w której normalnie ludzie pływają. To życiowe chodzenie, zwane niekiedy podróżą modlitewną, zwane katolika – nazwijmy to w ulubionej przez kościół łacinie – *homo ambulans*, czyli człowiekiem chodzącym.

Chodzenie jest zbiorowym gestem wspólnoty chrześcijańskiej, którego manifestacją są wszelkiego rodzaju procesje, drogi krzyżowe no i ma się rozumieć pielgrzymki. Zawiązywanie wspólnoty przez pochod i śpiew to kluczowe instrumentarium ewangelizacji (Co to jest: jak idzie to śpiewa, jak stoi to śmierdzi? Pielgrzymka na Jasną Górę.).

Stąd też wzięło się pojęcie kościoła pielgrzymującego, kościoła w drodze, jako wspólnoty organizmów nieczwornożnych, które do lokomocji użyć muszą bardzo skomplikowanej sekwencji ponad 230 skurczów i rozkurczów układu mięśniowego, aby wykonać krok.

Jeden cykl chrześcijańskiego kroczenia składa się z uderzenia pięta o ziemię, fazy płaskiej stopy, fazy odbicia palców i uniesienia nogi zgiętej w kolanie. Wahadłowym ruchem nóg katolicki organizm przenosi ciężar ciała z jednej kończyny na drugą. *Homo ambulans* pokonuje 80 metrów w minutę, wykonując w tym czasie coś między 100 a 115 kroków.

Dreptają nadal

Chrześcijaństwo tak naprawdę nie do końca przeszło na wyższy stopień ewolucji poruszania się, jakim była np. mobilność zwierzęca. Pielgrzymstwo wojenne uprawiane było wprawdzie na koniach z krzyżem miecza w pochwie. Były nawet zakony mnichów, którzy poruszali się wyłącznie na koniach vide templariusze, joannici, krzyżacy, kawalerowie mieczowi, ale w gruncie rzeczy były to zbrojne formacje rozbójnicze działające pod szyldem bractw zakonnych. Od czasów zakończenia wypraw krzyżowych (XIII w.) osobie duchownej wsiadać na koń nie przystawało. Średniowieczne klasztory i fortyfikacje budowano w oddaleniu około 30 km, aby przeciętny mnich mógł taką odległość pokonać w trakcie jednodniowego marszu.

Motoryzację katolicyzm przyjął z jeszcze większą niechęcią. Pozbawiona jest ona tak ważnego dla kościoła pierwiastka kroczącego, subsydiując go zupełnie antyreligijną mechaniką tocznienia. Były nawet momenty, kiedy kler i purpuratura wstydyli się posiadania samochodów lub były za ich użytkowanie zjadliwie krytykowane. Dlatego

zgodnie z zaleceniami polskiego Episkopatu księża mieli tego samego dużego Fiata w kolorze kości słoniowej przez piętnaście lat, jak postronni uważali. Prawda jednak była inna. Co trzy lata je sprzedawali „fiaty” i kupowali takie same. Na talony dla czerwonej władzy, które jakimiś cudownymi zrządzeniami losu były przez proboszczów przechwytywane.

Kościół też bardzo długo nie potrafił zająć doktrynalnej pozycji wobec awiacji. W fundamentalnym Piśmie Świętym nie ma dużo o lataniu człowieka. Niejakiej ekwilibrystyki hermeneutycznej i wielce alegorycznej interpretacji wymagało uznanie fragmentu z Dziejów Apostolskich o wniebowstąpieniu Chrystusa (Achtung! Chrystus wstępował do nieba, czyli wkraczał) jako boskiego zezwolenia na latanie duszpasterzy w maszynach.

Papiestwo w przestworzach

Pierwszym papieżem, który wsiadł na pokład samolotu i odbył nim pielgrzymkę do Ziemi Świętej był dopiero Paweł VI w 1974 r. Wielkim entuzjastą tego modelu pielgrzymowania był nasz rodak Karol Wojtyła, który w 104 międzynarodowych podróżach przeleciał samolotami 1 mln 167 tys. km, okrążając Ziemię 30 razy i spalając prawie 12 mln litrów paliwa lotniczego. Dzięki tym wynikom Jan Paweł II jest trzykrotnym laureatem Księgi rekordów Guinnessa. Następni papieże już jednak bardziej stąpają po ziemi. Zwłaszcza ostatni a obecny, któremu podobne podboje Polaka jawią się jako wyraz pewnego rodzaju pychy i nieumiarkowania.

Wspominam o tych wszystkich bardzo ważnych dla chrześcijaństwa kroczących sprawach, ponieważ rozpoczyna się doroczny sezon pielgrzymek na Jasną Górę, które ogniś atakowały Częstochowę marszami gwiazdystami z Rzeszowa, Szczecina, Warszawy i Katowic – w najlepszym okresie do maryjnego sanktuarium doprowadzały na własnych nogach 1,5 mln ludzi. No, niestety, to się zmieniło, choć zastano-



Rys. TOMASZ WATER

De(gren)gollado

gollado nie powinien być przełożonym tej młodej wówczas wspólnoty. Nie podjęto jednak żadnych radykalnych kroków, by pozbyć się rosnącego dopiero nowotworu. Marcial Maciel nie został suspendowany (zawieszony w prawach wykonywania zawodu księdza), musiał się tylko podleczyć z morfinowego uzależnienia. W 1958 r. Pacelli wziął i umarł, zaś Degollado wrócił do łask. Przywrócono go na stanowisko przełożonego Legionu Chrystusa, a następne watykańskie kary dosięgły go w... 2006 r. Te kary należy wziąć w duży cudzysłów: po prostu nakazano mu życie w odosobnieniu, co dla 86-latka, któremu zostały dwa lata do śmierci, nie było raczej końcem świata.

Bratnie dusze

Tę druzgocącą karę nałożył na Marciała Maciela dopiero Benedykt XVI. Od 1956 r., po Piusie XII, władzę w Kościele kat. sprawowali: Jan XXIII, Paweł VI, Jan Paweł I (raptem 33 dni), no i oczywiście przez 27 lat nasz rodak Karol Wojtyła. Żaden z nich nie zrobił w sprawie Degollado nic, choć do Watykanu napływały kolejne doniesienia o wątpliwej moralności popularnego księdza. Lata jego „światłości” przypadają na pontyfikat JP2.

Wojtyła w pierwszą swoją zagraniczną podróż jako papież wyruszył do Meksyku. To ojczyzna bohatera tekstu. Ówczesny Meksyk nie był, mówiąc ogólnie, przyjaznym dla katolików krajem: kler miał nawet zakaz chodzenia w sutannie w miejscach publicznych. Papież, aby wjechać do kraju, musiał się wystarać o wizę turystyczną. Tę pielgrzymkę w 1979 r. pomógł zorganizować nie kto inny, jak Marcial Maciel. On także miał się wystarać o zrobienie wyjątku dla papieża w sprawie stroju duchownego. Jak głosi anegdota, aby wszystko było zgodnie z prawem, nałożono na Wojtyłę symboliczną grzywnę w wysokości jednego dolara. Później JP2 jeszcze czterokrotnie był w Meksyku i prawie zawsze towarzyszył mu Degollado.

Już u zarania swoich rządów Wojtyła odkrył w tym rutkim Meksykaninie bratnią duszę i docenił jego talent organizatorski. Widział też analogie w prześladowaniu katolików i kleru w PRL oraz Meksyku. Jako nieopierzona głowa Kościoła, bez zaplecza w Kurii Rzymskiej, potrzebował przecież ludzi sprawnych i oddanych sprawie. Degollado spełniał te kryteria, w dodatku był przedstawicielem konserwatywnego nurtu w Kościele, wbrew panującej po soborze watykańskim II modzie. Nie lubił lewicy i liberałów – i to wystarczyło.

Polski papież teologicznie i obyczajowe nowinki odrzucał, znalazł więc w założycielu Legionu Chrystusa wartościowego sprzymierzeńca. Przeciwnik aborcji, kapłaństwa kobiet – no chodzący ideał. W dodatku twardo stąpający po ziemi, z której umiał podnosić pieniądze.

„Według pewnego byłego jezuita orientującego się w sprawie, jeden z pierwszych znaczących datków, jakie otrzymała polska Solidarność, pochodził od Maciela, który zebrał pieniądze wśród konserwatywnej elity meksykańskiej, o której względy tak wytrwale zabiegał. Nie ma wątpliwości, że Polak Karol Wojtyła, już wtedy papież Jan Paweł II, słyszał o tym akcie hojności i cenił ideologiczną postawę Maciela” – pisała Alma Guillermoprieto w „The New York Review of Books” w 2010 r. Czyli komunę obalili Wałęsa z Wojtyłą i Macielem.

Najważniejsze – dyskrekcja

Jeszcze za życia i względnej kondycji fizycznej Wojtyły zaczęły się pojawiać w mediach informacje o tym, że Degollado nie jest tym, za kogo się podaje, a przynajmniej nie tylko tym. Pod koniec lat 90. w „The Hartford Courant” opublikowano świadectwa skrzywdzonych przez Marciała Maciela. Watykan nie reagował, choć tych głosów pojawiało się coraz więcej. Wojtyła ponoć miał nie dawać wiary tym oskarżeniom, będąc przekonanym, że to odpowiednik esbeckich fałszywek, które pogrążyły polskich księży. Tak oddany Matce-Kościółowi kapłan nie mógł być przecież pedofilem, bigamistą i narkomanem. Ostatni raz przyjaciele spotkali się w listopadzie 2004 r., na pół roku przed śmiercią Lolka z Wadowic.

Niepoślednie znaczenie w karierze Degollada miał także ten, który nic nie wie i nie pamięta, Stanisław Dziwisz. Autor wspomnianych publikacji w „The Hartford Courant” Jason Berry w rozmowie z reporterem TVN24 mówił m.in.:

„W ostatnich latach życia Jana Pawła II, Sodano, ówczesny watykański sekretarz stanu, i Dziwisz otrzymywali duże sumy pieniędzy od Legionistów Chrystusa. Dziwisz dostawał nawet po 50 tys. dolarów za wprowadzanie bogatych darczyńców Legionistów na papieskie msze w prywatnej kaplicy”. Legion Chrystusa urządził też dla „don Stanisłao” przyjęcia z okazji święceń biskupich i nominacji kardynalskiej. O występach bohatera tego tekstu Dziwisz „pierwszy raz usłyszał” od red. Piotr Kraśki w słynnym wywiadzie w TVN24.

Gdy na watykańskim stolcu w 2005 r. zasiadł Ratzinger, po raz kolejny przyrzano się sprawie, tym razem w okularach. „Najcięższe i obiektywnie niemoralne zachowania ojca Maciela, potwierdzone przez niepodważalne świadectwa, jawią się niekiedy jako prawdziwe przestępstwa i ukazują życie, pozbawione skrupułów i autentycznych uczuć religijnych” – poinformowała centrala Kościoła kat. i nakazała Macielowi pustelnicze życie pokutnika. On sam nigdy się do niczego nie przyznał ani tym bardziej nie przeprosił.

W 2019 r. władze Legionu Chrystusa opublikowały raport, z którego wynika, że od 1941 do 2019 r. 33 członków zakonu wykorzystało seksualnie 175 osób. 60 padło ofiarą samego tylko Marciała Maciela Degollado. Ofiary twierdziły, że to liczby zaniżone. Watykan miał pół wieku i nic nie zrobił, ale przynajmniej zarobił. Ojciec założyciel naczelną zasadą Legionu uczynił dyskrekcję, którą ślubowali wszyscy chętni do uczestnictwa w tej wspólnocie. A co się Dziwisz jeden z drugim?

MATT KOBOSKO

Rys. MARC CHUDZIK

wić się trzeba, czy ubolewanie biskupów nad tą zmianą jest uzasadnione.

Rytuał religijny związany z pielgrzymowaniem wywodzi się z przeświadczenia, że maszerowanie ma charakter pokutny. Jest rodzajem kary nakładanej na samego siebie za występki przeciw Bogu, które w rezultacie kroczenia zostaną zmaszerowane.

Pielgrzymstwo heroiczne

W czasach dawnych, kiedy nie było bitych dróg, rzeczywiście mogło to mieć podobną funkcję. Udanie się pieszo, często boszo, we włosienicy, do świętej Częstochowy, aby zdjąć z siebie odium cudzołóstwa i innych form pożądania świeckiego sukcesu, było wyzwaniem niemal samobójczym. Pątnik przed wyruszeniem z ówczesnego Krakowa spisywał testament albo nawet sprzedawał warunkowo majątek. Gdyby wrócił z pielgrzymki żywy, miał możliwość jego odkupienia. Działo to podobnie jak obecne fundusze powiernicze.

Grasujące w okolicach Radomska sfory chrześcijańskich wilków często niweczyły cel pielgrzymującego oraz ograbiały ze skromnego dobytku. Wielu aspirujących do oczyszczenia umierało, nie zaznajając łaski uświęcającej, bez sakramentalnego namaszczenia i spojrzenia Czarnej Madonnie prosto w twarz.

W miarę postępu budownictwa drogowego pielgrzymowanie stało się coraz bardziej bezpieczne i mniej ryzykowne. Praktykowane przez ponad trzy stulecia. Pielgrzymi w tym czasie minęli zabory, przeszli obok okupacji i dobrze im się działo za czasów

komuny, choć zarzucano im rozwiązłość, pijaństwo i grubiaństwo.

Powołania pielgrzymkowe zdisiatał dopiero Covid 19, z którym przyszły administracyjne zakazy przemieszczania się w ogóle, a zatem uprawiania świątobliwej turystyki także. Ale nie możemy też lekceważyć obiektywnego wzrostu moralności katolickiej diaspory, która nie ma czego odpokutować, więc nie musi sobie dreptać. Nie bez przyczyny dla rosnącej rachityczności pielgrzymowania jest zapewne postępująca laicyzacja i rozwój zaplecza turystycznego w Polsce, czyniący ten sposób spędzania wolnego czasu nudnym, męczącym i nieatrakcyjnym.

W zależności, kto i jak liczy, w ostatnich latach dociera pod Jasną Górę od 40 do 70 tys. pątników. W stosunku do wyników sprzed lat piętnastu stanowi to 3 do 5 proc.

Konkurs piękności świętości

Królowa Polski Matka Boska Częstochowska ma też coraz większą konkurencję innych matek, bo na znaczeniu zyskały inne sanktuaria.



Rys. TOMASZ WATKIN

„Ślaska Jerolim” w Wambierzycach nie dość, że ma własną Gogotę, to przepływa tam strumień Cedron, a okoliczne wzgórza to Tabor, Syjon i Horeb. Ruchoma szopka ma ponad 800 figur. Jest też 100 kaplic, w których modlić się można do upadłego i 12 bram, przez które da się przechodzić w obie strony. Częstochowa pozostaje w stosunku do tej fałszywej Jerolimy jak kaszubski skansen do Disneylandu.

Pątnicy nie chodzą już do Częstochowy, ale przemierzają kraj wzdłuż, w poprzek i diagonalnie w poszukiwaniu miejsc działania boskiej opatrności, której jest więcej niż w czasach, kiedy ja uczęszczałem na religię. Stwierdzić trzeba, że

dobrze zorganizowane jednolowe pielgrzymowanie zastąpił niejaki pielgrzymkowy chaos. Mamy kłębowski pielgrzymów szwendających się od Międzygórza do Przeworska przez Świętą Lipkę, a nawet Wałbrzych, w którym odkryto niedawno drzazgi z tego samego krzyża, do którego przybito mesjasza.

Pełny dosiad

Pielgrzymowanie się degeneruje, ale wydaje mi się, że i słusznie, ponieważ jest to niewłaściwa i nieskuteczna forma komplementacji czegośkolwiek. Człowiek, który chodzi, nie myśli. Widać to dokładnie na twarzach defilujących żołnierzy każdej armii. Działanie wyklucza myślenie.

Myślenie wymaga postawy siedzącej, kiedy mózg w ograniczonym stopniu zajmuje się funkcjami organizmu. Całą swoją energię neuronową wydrukuj na pracę koncepcyjną. Zwiększa swoje skupienie, wystrza zmysły oraz koncentrację. Nie trudno zauważyć, że wszystkie zawody wymagające myślenia sprawowane są na siedząco. Stąd słuszne frazeologizmy: „królewski tron”, „fotel prezydenta”, „ława poselska”, a ktoś nazywany „ławnikiem” siedzi zapewne na ławie.

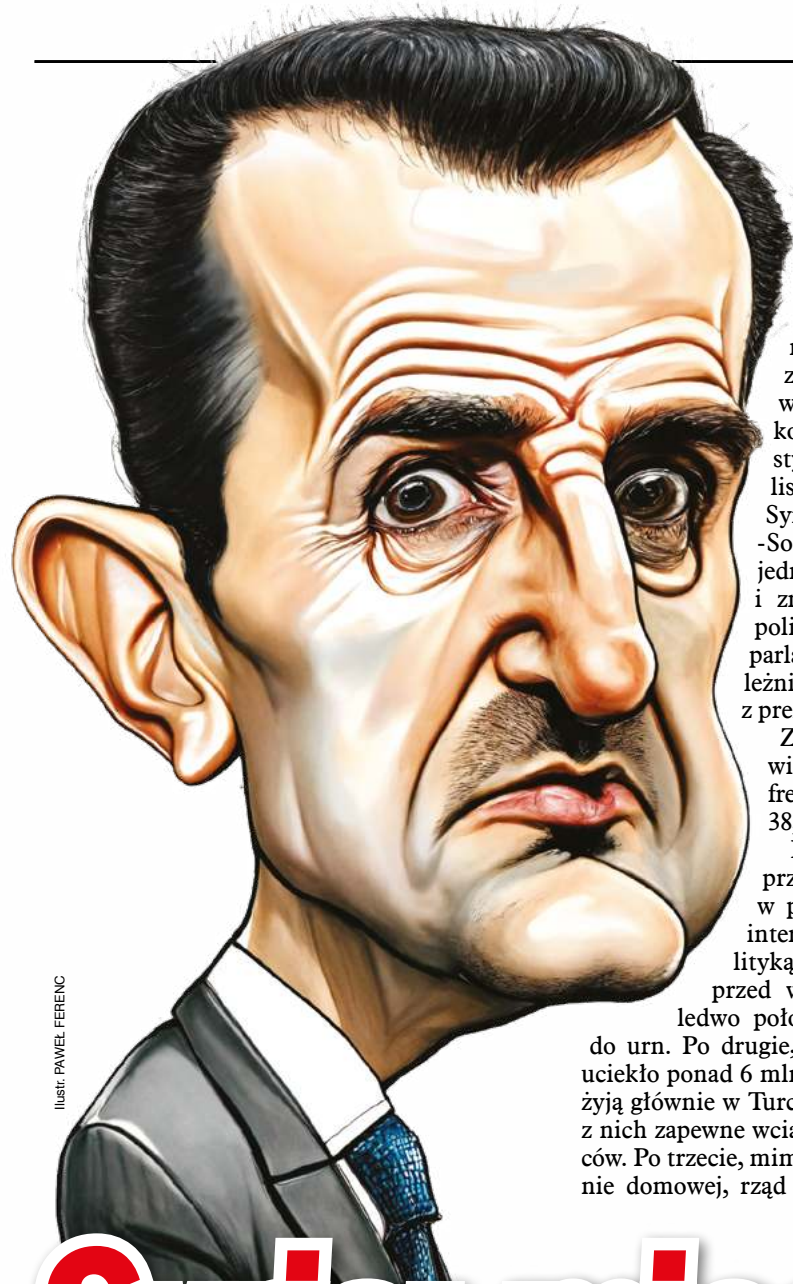
Dobrze pojęta, choć teologicznie niesłuszna, byłaby zatem ewolucja pielgrzymek krocących w siedzącą. Zdecydowanie lepiej na stan wiary wpływałoby pielgrzymowanie autobusowe, kolejowe albo nawet samochodowe. Odciążałoby stawy i kręgosłup, a aktywizowało umysł.

Wzrosłaby zapewne liczba nawróceń, objawień i ekstatycznych uniesień, gdyby pątnicy po prostu sobie siedzieli. Wiązałoby się to z ogromną oszczędnością czasu, którego wszystkim nam obecnie brakuje.

Polski episkopat powinien wziąć pod rozważenie, czy człowieka krocącego *homo ambulans* w ewolucyjnej zmianie nie powinien zastąpić człowiek siedzący, czyli *homo sedes*.

ROBERT JARUGA

Baszar al-Assad wygrał wybory. Nie żeby miało to jakieś znaczenie.



nych kanapowych partyjek, zazwyczaj o lewicowej proweniencji, m.in. dwie partie komunistyczne, trzy socjalistyczne, dwie narodowo-socjalistyczne i oskarżana o faszyzm Syryjska Partia Narodowo-Socjalna. Wszystkie mają od jednego do trzech mandatów i znikomy wpływ na syryjską politykę. Pozostali członkowie parlamentu formalnie są niezależni, zaś nieformalnie powiązani z prezydentem Assadem.

Znacznie istotniejsza od przewidywalnych wyników była frekwencja – wyniosła ledwie 38,16 proc. Przyczyny są trzy.

Po pierwsze, od przekazania przez Hafeza al-Asada władzy w partii synowi Baszarowi zainteresowanie Syryjczyków polityką znacząco spadło i jeszcze przed wybuchem wojny domowej ledwo połowa wyborców udawała się do urn. Po drugie, w ostatnich latach w Syrii uciekło ponad 6 mln uchodźców, którzy do dziś żyją głównie w Turcji, Jordanii i Libanie. Część z nich zapewne wciąż figuruje w spisach wyborców. Po trzecie, mimo zwycięstwa Assada w wojnie domowej, rząd wciąż nie kontroluje dużej

Wciśnięta między Irak i Turcję Rożawa stała się ewenementem na mapie świata arabskiego – kierując się ideologią demokratycznego konfederalizmu stworzoną przez wieloletniego lidera Partii Pracujących Kurdystanu Abdullaha Ōcalana (od ćwierćwiecza więzionego przez rząd turecki w odpowiedniku Berezycji Kartuskiej – więzieniu politycznym Imarli na Morzu Marmara),

wprowadzono pełne równouprawnienie kobiet, świeckość państwa, mechanizmy polityczne oparte na demokracji bezpośredniej i gospodarkę uspołecznioną bazującą na spółdzielniach pracy.

Od dekady do Rożawy zjeżdżają się lewicowi aktywiści i dziennikarze zachwyceni enklawą socjalizmu i progresji w morzu islamskiego zamordyzmu.

W chwili powstania Rożawy zaistniał jednak również inny twór, o którym od razu zrobiło się głośno – 29 czerwca 2014 r., w pierwszy dzień ramadanu powstanie islamskiego kalifatu ogłosiło działające na terenie Syrii i Iraku Państwo Islamskie (ISIS). W przeciągu niecałego roku kalifat objął niemal połowę terytorium Syrii. Ekspansja ISIS przeraziła i skłoniła do interwencji zarówno Rosję, jak i państwa Zachodu pod przywództwem USA. O ile Stany kooperowały głównie z rożawskimi

W 2019 r. ówczesny amerykański prezydent Donald Trump zdecydował o wycofaniu się z turecko-syryjskiego pogranicza i przyzwoleniu Turcji na interwencję w Rożawie. Kurdowie od dekad są największym wrogiem rządu w Ankarze, zatem prezydent Recep Erdoğan, uzyskawszy akcept Trumpa, natychmiast wkroczył do Syrii, ustanawiając szeroki na 32 kilometry pas bezpieczeństwa. Wywołało to kolejny kryzys humanitarny – ponad 100 tys. mieszkańców Rożawy musiało uciekać ze swych domów. Sytuację ustabilizowały dopiero rozmowy pokojowe w Soczi, podczas których zdecydowano o zawieszeniu broni, którego dotrzymania pilnować miała rosyjska żandarmeria. Tym samym najważniejszymi graczami w Syrii stała się wspierająca rząd Rosja i walcząca z Assadem Turcja.

Kryzys gospodarczy i reaktywacja ISIS

Wojna wciąż się tliła, a dwa problemy zaczęły w ostatnim czasie narastać. Po pierwsze pogłębiający się kryzys gospodarczy w Turcji wzmógł nastroje ksenofobiczne – Syryjczycy stali się chłopcem do bicia odpowiadającym za wzrost cen i bezrobocie, gdyż wykupują jedzenie i zabierają pracę „prawdziwym Turkom”. W ostatnich tygodniach ataki na Syryjczyków mieszkających w Turcji przybrały na sile. Pogłoska o Syryjczyku-pedofilu doprowadziła do masowych podpałów syryjskich sklepów i prywatnych domów w półtoramilionowym tureckim mieście Kayseri. Jak donosił Reuters, tylko jednej nocy z 1 na 2 lipca turecka policja zatrzymała 474 osoby zamieszane w ataki na Syryjczyków.

Drugim problemem jest reaktywacja Państwa Islamskiego. Brytyjski „Guardian” pisał niedawno o odrodzeniu ISIS w Syrii i Iraku, a także w Burkina Faso, Czadzie, Mali, Nigrze, Mozambiku, Somalii oraz na afgańsko-pakistańskim pograniczu. Jak wskazuje styczniowy raport ONZ, masowe morderstwo Palestyńczyków w strefie Gazy przez izraelską armię wpłynęło na radykalizację muzułmanów, a regionem szczególnie podatnym na wzrost popularności ISIS są środkowozasymilacyjne republiki poradzieckie oraz kaukaskie regiony Rosji.

Ankara oraz Moskwa są dziś w największym stopniu zdeterminowane, aby nie dopuścić do odrodzenia Państwa Islamskiego w Syrii. Turcja ze względu na bezpośrednią granicę, zaangażowanie w Syrii oraz groźbę kolejnych fal uchodźców w razie eskalacji konfliktu. Z kolei w Rosji, zamieszkałej w przeszło 20 proc. przez muzułmanów, odrodzenie się ISIS mogłoby doprowadzić do destabilizacji sytuacji wewnętrznej, czego przedsmak mieliśmy podczas marcowego zamachu w podmoskiewskim centrum „Krokus” oraz ostatnich atakach na świątynie w Dagestanie.

Eskalacja antysyryjskich zamieszek oraz wzmożona aktywność ISIS skłoniły Receptę Erdoğan do zapowiedzi wznowienia relacji dyplomatycznych z Syrią (zerwano je w 2011 r.), a miejscem spotkania obydwu prezydentów ma być, oczywiście, Moskwa. Jak donosi „Kommersant”, rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow zapowiedział, że Rosja będzie dążyć do unormowania relacji turecko-syryjskich i rozważy organizację tróstronnego spotkania Assad-Erdoğan-Putin. Normalizacji stosunków między Ankarą a Damaszkiem stanowczo sprzeciwiają się Stany Zjednoczone. Niewiele już jednak słucha zdemenciałego Wujka Sama, który wpierw rozpętał w Syrii wojnę domową, a następnie na własne życzenie pozbył się tam niemal wszystkich wpływów.

MAREK SANOWSKI

Syria: między islamskim piekłem i socjalistyczną utopią

części terytorium i to właśnie sytuacja wojenna w największym stopniu wpływa na pozycję dzisiejszej Syrii.

Syryjska wojna światowa

Rozpoczęta w 2011 r. wojna w Syrii jest w istocie walką wszystkich ze wszystkimi. Najważniejszą stroną konfliktu są Syryjskie Siły Zbrojne, formalnie dowodzone przez prezydenta Baszara al-Assada. W apogeum protestów będących częścią tzw. arabskiej wiosny w armii doszło do buntu, w efekcie którego powstała opozycyjna wobec Assada Wolna Armia Syrii. Jak wszystko z wolnością w nazwie była wspierana przez Amerykanów. Korzystając z pogłębiającego się bałaganu, do walki zbrojnej przystąpił Kurdowie z Partii Unii Demokratycznej zamieszkujący Rożawę (kurd. Rojava) w północno-wschodniej Syrii. Związane z PUD obywatelskie milicje (YPG) przekształcono w regularną armię i 9 stycznia 2014 r. proklamowano niepodległość.

Kurdami i tzw. opozycją demokratyczną, o tyle Rosja zdecydowała się na współpracę z rządem Assada. To właśnie interwencja Rosji była kluczowa w przejęciu inicjatywy przez siły rządowe i likwidacji Państwa Islamskiego.

Turecka interwencja i rosyjski pokój

Choć Państwo Islamskie udało się pokonać, rok 2016 był najkrwawszym od początku wojny w Syrii – media donosiły, że liczba ofiar zbliżyła się wówczas do 400 tys. Kolejne kilka milionów musiało uciekać z kraju, co wywołało pamiętny kryzys migracyjny w Europie.

Jednak, choć brzmi to niezręcznie, krwawa eskalacja w 2016 r. była pierwszym krokiem do zamrożenia konfliktu. Wskutek rosyjskiego wsparcia siły syryjskie odzyskały kontrolę nad większością kraju i de facto zaakceptowały rządy Kurdów w Rożawie.

Wspierane przez USA bojówki skupiły się przy granicy z Jordanią oraz Irakiem i nie stanowią już dla Baszara al-Assada większego zagrożenia.

15 lipca odbyły się wybory parlamentarne w Syrii. Rezultaty nie przyniosły żadnego zaskoczenia – podobnie jak we wszystkich elekcjach od 1973 r. bezapelacyjnie wygrała partia Baas. Zwycięzca był znany zresztą już przed wyborami, gdyż syryjski system wyborczy opiera się o głosowanie blokowe: wyborcy mogą wybrać jedną z list kandydatów, a nie poszczególnego pretendenta do mandatu. Przepisy mówią jednak, że co najmniej dwie trzecie kandydatów na każdej z list muszą stanowić członkowie prezydenckiej partii Baas, dlatego od objęcia rządów przez Baszara al-Assada liczba posłów partii rządzącej waha się od 167 do 172 na 250 miejsc do obsadzenia. Poza Baas w parlamencie zasiadają reprezentanci róż-

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

★ We Lwowie nieznanymi sprawcami zastrzelili byłą deputowaną do Rady Najwyższej Ukrainy Irynę Farion. Polityk zasłynęła postulatami aneksji części województwa lubelskiego i podkarpackiego, a także namawianiem żyjących tam Ukraińców do walki z „opolaczaniem”. Farion postulowała ponadto radykalną depolonizację Lwowa, a Polaków oskarżała o opluwanie „narodowego bohatera Ukrainy” Stepana Bandery. Kondolencje rodzinie złożyli najważniejsi ukraińscy politycy (m.in. prezydent Wołodymyr Zelenski i przewodniczący Rady Najwyższej Rusłan Stefanczuk) oraz prężnie działająca w Polsce ukraińska organizacja Euromajdan Warszawa. „Iryna Farion była znana z ogromnej miłości i propagowania języka ukraińskiego. Zamach na jej życie to też zamach na język ukraiński. Wieczny odpoczynek racz jej dać Panie. Wyrzucić z serca rodzinie i bliskim” – napisali aktywiści Euromajdanu, przy okazji wyraźnie dając do zrozumienia, jaki stosunek mają do goszczących ich Polaków.

★ W „Do Rzeczy” interesująca analiza jankeskich poczynań nad Wisłą autorstwa Wojciecha Golonki. Ostatnio Wielki Brat ogłosił utworzenie w Polsce Zespołu ds. przekazu o Ukrainie (ang. Ukraine Communications Group – UCG). „Dyplomacja Stanów Zjednoczonych pracuje nad utworzeniem czegoś na wzór podlegającego Waszyngtonowi międzynarodowego ministerstwa prawdy,

na razie tylko do spraw wojny na Ukrainie, a ściślej rzecz biorąc – nad zespoleniem i ścisłym podporządkowaniem Waszyngtonowi narracji dotyczącej tego konfliktu. (...) [Jej utworzenie zajmie się] cytując stronę Departamentu Stanu, „ciało mające za cel przewodzenie, w oparciu o dane, międzyagencyjnym wysiłkiem na rzecz aktywnego zwalczania wrogich prób podważenia interesów USA przy użyciu dezinformacji i propagandy” – pisze Golonka. Tak właśnie wygląda obchodząca 35. urodziny „wolna Polska”, a ściślej – jak mawia prof. Stanisław Żerko – The Banana Republic of Bolanda.

★ Na łamach „Sieci” Andrzej Rafał Potocki pisze o ukraińskiej armii: „Pod Nowomyhajiwką w składzie słynnej 47. Brygady Zmechanizowanej debiutował oddział złożony z ukraińskich skaźców. Warto zauważyć, że są oni wspierani przez bojowe wozy piechoty Bradley i działają jak normalni żołnierze w ramach naprawdy elitarnej jednostki, a nie jak »mięso armatnie«. I to jest ta cywilizacyjna różnica między Kacapią a Ukrainą”. Cóż, w Rosji elitarne jednostki tworzą elitarni żołnierze, a nie kryminaliści. Istotnie jest to cywilizacyjna różnica.

★ Dwa miesiące temu odbyła się w Warszawie konferencja pt. „Koalicja antyputinowska. Warunki zwycięstwa i likwidacji reżimu Putina”. Stan umysłów uczestników obrazuje wywiad z jednym z nich, Alfredem Kochem, opublikowany w „Plusie Minusie”: „[Putinowska Rosja] popadnie w jakąś intelektualną i ekonomiczną autarkię, w której po prostu zgnije mentalnie, pograży się w jakichś archaicznych obyczajach. (...) Niegdyś samochodem przejechałem Etiopię, Ugandę, Kenię i Tanzanię. Kenia i Tanzania są mocno zintegrowane ze światem, tam mówią po angielsku, jest tam wielu Europejczyków. Ale w Etiopii jest zupełnie inny świat. (...) Tam nie dotarła jeszcze cywilizacja XX wieku. Gdy zobaczyłem krowę, pomyślałam, że to duży pies. Bo nie mają pojęcia o selekcji, współczesnym rolnictwie. Są bardzo pracowitym narodem, pracują od rana do wieczora. Mimo to wciąż głodują. Etiopia nie była nigdy kolonią, rozwijała się po swojemu. Dlaczego o tym opowiadam? Bo tak widzę przyszłość Rosji”. Tymczasem, w ubiegłym roku PKB Rosji rósł 18-krotnie szybciej od PKB Polski.

MAREK SANOWSKI

ukraina.tygodniknie@gmail.com





Pracowity odpoczynek

Urlop po amerykańsku

Trwa najbardziej pożądaną przez większość Polaków okres roku. Wakacje. Możemy udawać, że tęsknimy za choinką, mistrzostwami piłkarskimi albo olimpiadą, ale w gruncie rzeczy 78 proc. społeczeństwa, które deklaruje, że nienawidzi pracy, jaką wykonuje, popada tylko latem w ekstatyczny stan umiarkowanej beczynności gwarantowanej prawem dwutygodniowego urlopu. Planuje go często z rocznym wyprzedzeniem. Większość ludzi pracuje bardzo ciężko w sposób nieplanowany, aby planowo nic nie robić. Ha! Dzieje się to w społeczeństwie, które gardzi nierobstwem, zwanym ongiś pasożytnictwem społecznym.

Neurotyczna to z punktu widzenia przyrodznawstwa sytuacja, kiedy obok etosu pracy mamy etos obiboctwa. Praca sama w sobie, harówka, ma negatywne konotacje, ale lenistwo – równie kiepskie, choć z zupełnie innego powodu.

Najlepszy z najgorszych światów

Egzystujemy na takiej planecie, gdzie zaistniały niepowtarzalne warunki do powstania życia. Powinniśmy mówić o kosmicznym szczęściu. Co dziwne, wydaje się nam równocześnie, że planeta jest skonstruowana wadliwie, niesprawiedliwie i niedoskonale. Naraża nas na cierpienia związane w dużej mierze ze świadczeniem pracy, ponieważ od wyjścia z domu do powrotu, robota zajmuje nam większość świadomej aktywności dobowej.

Coś jest nie halo. Większość ludzi robi coś, czego nie lubi, intencjonalnie się unieszczęśliwiając. Różniście są rozumienia sensu życia, choć zapewne każdy się zgodzi (z wyjątkiem katolika), że życie nieszczęśliwe nie ma sensu. Sens ma tylko życie szczęśliwe. Życie dla samego życia, podtrzymywania procesów biologicznych ze strachu przed zgonem, pozostawanie w permanentnym stanie cierpienia, to absurd.

Mimo ogromnego postępu techniki, która eliminuje ludzi z najcięższych prac, obecnie wykonywanych szybciej, taniej, precyzyjniej niż powiedzmy 20 lat temu, przykrości pracownicy nie zmalały. Budowlaniec kopiący rowy za pomocą minikoparki Liebherr, siedząc w klimatyzowanej kabinie na wymoszczonym fotelu, jest nadal tak samo niezadowolony, jak jego ojciec, który kopał łopatą ów rów pod kabel energetyczny. Nie udało się zlikwidować alienacji pracy.

Daremne trudy

Alienację w założeniach usunąć miał komunizm poprzez eliminację klasy próżniaczkiej zajmującej się nicnierobieniem, wyzyskującej wysiłki innych. Wprowadzając obowiązki pracy i restrykcje za uchylanie się od niej, chciano stworzyć społeczeństwo „każdemu według potrzeb” albo „każdemu według zasług”, w którym praca byłaby radością, spełnieniem, szczęściem, w przeciwieństwie do kapitalizmu, gdzie pozostawanie na bezrobociu mogło oznaczać kres doczesnej egzystencji. To zagrożenie dla życia socjalizm eliminował przez likwidację bezrobocia. Apologizowano pracę, aby znieść jej wyobcowanie.

Inaczej z problemem radziły sobie społeczeństwa starożytne, ale nie tylko, bo w systemach niewolniczych lub quasi-niewolniczych utrzymywały się do XIX w., a w krajach arabskich obowiązują nadal. Człowiek nie musiał pracować, gdyż podobne tej przykrych czynności działania wykonywały ożywione przedmioty niespełniające definicji osoby ludzkiej. W niewolnictwie, feudalizmie obrzydano pracę. Była hańbą. Robotnicy stratyfikowani byli niżej od zwierząt.

Także nieudolnie załatwia się problem pracy i bezrobocia w państwach opiekuńczych, które gwarantują minimalny dochód, a zarazem tworzą coś na podobieństwo najemnego niewolnictwa. Z jednej strony produkuje to klasę pasożytniczych nierobów niezadowolonych ze swojego losu, których vegetacja przekazywana jest z pokolenia na pokolenie. Z drugiej strony zrodziło zniewoloną załóżnicę na kartach kredytowych grupę nienależnych konsumentów. Możliwe, że oni z niechęcią i oburzeniem, że ich podatki idą na utrzymanie tych, którzy nic nie robią.

Wniosek jest taki, że im bardziej systemy społeczne, znaczący prawne, ingerują w sprawy pracy i beczynności, tym więcej problemów i napięć o rozmiarach socjologicznych.

Eureka

Niestety, z pewną niechęcią muszę przyznać, że istnieją dwa państwa na świecie – z których dla dalszych rozważań istotne jest tylko jedno – gdzie problem alienacji pracy nie istnieje. O górnych regulacji systemowych wakacji i urlopów nie ma, a także skodyfikowanych praw pracowniczych jest niedużo. Ograniczone są do minimum.

Wbrew intuicji, państwo to jest potęgą, supermocarstwem. Nazywa się Sta-

ny Zjednoczone. Nie istnieją tu płatne urlopy, wczasy pod gruszą, fundusze świadczeń pracowniczych tworzone przez przedsiębiorców. Umowa o pracę jest relacją na gruncie prawa cywilnego, a nie znanych w Europie kodeksów pracy. Strony mogą się dowolnie umawiać w zasadzie co do wszystkiego z wyjątkiem wysokości podatków, składek na ubezpieczenie społeczne i wysokości minimalnego wynagrodzenia, teoretycznie ustawowo gwarantowanego.

System jawi się z europejskiego punktu widzenia jako nieludzki, niebezpieczny, niedający pracownikowi (znajdującemu się zwykle na podrzędnej w stosunku do pracodawcy pozycji) ochrony państwa. Działają jednak nadzwyczaj dobrze, o czym świadczą rezultaty.

Znikła bowiem tak naprawdę zależność między pracownikiem a pracodawcą, czyniąc zatrudnienie umową (oświadczeniem woli) dwóch równych i wolnych ludzi. Aczkolwiek bywają okresy dekonstrukcji i koniunktury, które wpływają gorzej na pozycję negocjacyjną jednego lub drugiego, to jednak zawsze istnieje równowaga strachu oraz wspólnota interesów. Ja jestem potrzebny tobie, a ty – mi. Możemy z siebie zrezygnować, tylko czy to naprawdę się komuś z nas opłaca? Urlop? Proszę bardzo! Możesz iść już jutro, tylko, że ci za to nie zapłacę.

Prezentuje się to nieco atawistycznie, ale w gruncie rzeczy wzmacnia oby-

wa telską pewność siebie, poczucie wartości, zdolność do samostanowienia. Wyzwała inicjatywę i wzmacniała żywiołowość.

Oczywiście nie zawsze tak było. Obecnie USA są państwem socjalnym o najwyższym standardzie życia po Norwegii, gwarantującym większości społeczeństwa bezpieczeństwo w przypadku utraty zatrudnienia. Większe niż np. w Niemczech. Do tego stanu bezopresyjności Stany doszły zupełnie inaczej niż bogate kraje zachodu Europy.

Niezadowolone z konieczności świadczenia pracy deklaruje tylko 11 proc. Amerykanów. Białe amerykańskie protesty nie uważa, że praca musi być nieprzyjemna.

Praca to pragmatyczne działanie traktowane na równi z wypoczynkiem, między którymi zachodzi się powoli różnica. Myślenie, że nie będziesz musiał pracować, jeżeli robić będziesz tylko to co lubisz, pochodzi właśnie ze Stanów.

Bill Gates potrafił pracować przez trzy doby bez przerwy, nie czując się człowiekiem przepracowanym.

USA, jak żadne inne państwo, stały się krajem szczęśliwie zatrudnionych. Średni tygodniowy czas pracy wynosi 30,5 godziny. Umiarkowanie długo jak na państwo rozwinięte. Ale krótko w stosunku do warunków polskich, gdzie guzdramy się nieefektywnie przez 40,4 godziny. Mimo skróconego cyklu pracy, Amerykanie mają niewątpliwie efekty. Pozycję liderów w większości aspektów ludzkiego wieloboju.

Również, jak mi się zdaje, Amerykanie osiągają nadzwyczaj dobre wyniki, robiąc tylko to, co muszą. To tylko część prawdy, że ten się nie myli, kto nic nie robi, ponieważ również ten się nie myli, kto robi tylko to, co konieczne. Ten zrealizowany postulat konieczności łatwo zauważyć we wszystkim, co Amerykanie produkują. Niemiec chce zrobić jak najlepiej potrafi, Chińczyk – tylko to co niezbędne, a Amerykanin – to co musowe. Nie potrafiłbym zracjonalizować, dlaczego ta ostatnia postawa okazuje się najbardziej efektywna, ale jeżeli bycie

mogli wybrać między lodówką amerykańską, niemiecką albo chińską, kupilibyście tę made in USA.

Nieustające wakacje

Zarazem w tym kraju, gdzie prawo nie gwarantuje płatnych urlopów, mają średnio najwięcej wolnego. Przebywają poza miejscem pracy ponad osiem tygodni w roku. Uczyniło to przemysł turystyczny USA (czytaj: rozrywkowy) najbardziej dochodowym na świecie z przychodami 1,8 bln dolarów. Na próżniaczenie Amerykanin, jak żaden obywatel państwa inaczej rozwiniętego, wydaje rocznie uśrednione 5 tys. dolarów.

Budżet Stanów Zjednoczonych na obronność wynoszący 704 mld USD jest o ponad 1,1 bln dolarów mniejszy. Na zagrażające życiu wygłupy i zabawę Amerykanie wydają o niebo mniej niż na bezpieczeństwo. W podsumowaniu nie uwzględniono kosztów alkoholu, narkotyków i prostytucji służących wszak tylko wytchnieniu i zregenerowaniu sił w drodze do eskalacji zysków. Oraz wartości bezproduktywnych sportu i kultury.

Czy taki model przyjąłby się w Europie? Oczywiście nie. Każdy polityk, który wyskoczyłby z pomysłem zlikwidowania płatnych wakacji, byłby skończony, zanim jeszcze by zaczął. Dobro-dziejstwa i okropności amerykańskiego rynku pracy Polsce nie zagrażają.

Zostań jankesem

Jest natomiast inny łatwy sposób, aby wejść w ten system. Możesz przyjechać do Rosji i tam zamieszkać, ale nigdy nie będziesz Rosjaninem. Możesz osiedlić się bez przeszkód jako Europejczyk we Francji, ale nigdy nie będziesz Francuzem. Możesz się zadowoić w Niemczech, ale będąc Polakiem nigdy nie będziesz Niemcem. Natomiast każdy obywatel świata może pojechać do Ameryki i zostać prawdziwym Amerykaninem, którego narodowości i obywatelstwa nikt nie będzie kwestionował.

I jest to bardzo urokliwe, ale na przykład ja – mieszkając jakiś czas w USA – z takiej sposobności nie skorzystałem. Mimo tych świetlistych zalet, Ameryka ma swoje cienie, które są dla mnie nie do zaakceptowania.

Zatem rekomendacja szczera na trwałe wakacje jest prosta. Rób tylko to co musisz, bo w gruncie rzeczy nie jest możliwe, aby robić wyłącznie nic. Na zdrowie.

Aha! Tym drugim państwem, w którym ludzie nie są wyalienowani z pracy, jest Watykan. Też może tam wyemigrować każdy. Stawiają jednak absurdalne wymagania.

ROBERT JARUGA

robert.jaruga@doborowa.com.pl

WIARA CZYNI CZUBA

1. Bigoci na całym świecie dostali ataku hysterii w związku z żywym obrazem stanowiącym element inauguracji igrzysk olimpijskich w Paryżu. Inscenizacja, z błękitnym golasek na monstrualnej tacy pełnej owoców, nawiązywała do „Ucztę bogów” holenderskiego siedemnastowiecznego malarza Jana van Bijlerta i miała obrazować „absurd przemocy między ludźmi”, ale religijni zeloci dostrzegli w nim „Ostatnią wieczerzę” Da Vinci. Wyrazom oburzenia nie było końca. Nam najbardziej spodobał się wysłannik Watykanu na igrzyska bp Emmanuel Gobilliard, który ogłosił, że niektórzy francuscy sportowcy nie mogli spać, tak byli oburzeni. Premier Węgier Viktor Orbán nie skarżył się wprawdzie na bezsenność, ale za to ubolewa nad „moralną pustką Zachodu”. „Jeśli ktoś poczuł się urażony, jest nam naprawdę przykro” – odpowiedzieli zdawkowo organizatorzy.

2. Jeffrey Burrill to ksiądz, który stracił posadę sekretarza konserwatywnej Konferencji Biskupów Katolickich USA po tym, jak katoportal Pillar ujawnił, że korzysta on z gejowskiej aplikacji randkowej Grindr. Pillar nie wyjaśnił, skąd pozyskał te dane, ale „Washington Post” ustalił, iż konserwatywna organizacja z Denver zwąca się Katolicki Laikat i Kler na rzecz Odnowy wydała miliony dolarów na oprogramowanie śledzące księży podejrzanych o łamanie celibatu. Dostęp do uzyskanych w ten sposób danych był oferowany katolickiemu portalowi informacyjnemu CNA, ale ten ofertę odrzucił; Pillar wyraźnie nie. I teraz pointa: ksiądz Burrill pozywa – uważa – Grindra. Nie ma żalu do tych, którzy oprogramowanie stworzyli, którzy je wykorzystali albo za nie zapłacili; winni są wyłącznie ci, którzy kusili go do zlego.

3. Najnowszy sondaż Gallupa wykazał, że 37 proc. Amerykanów to tzw. „kreacjonistyczni puryści” wierzący, że Bóg stworzył

człowieka w jego obecnej formie w ciągu ostatnich 10 tys. lat. 24 proc. ankietowanych akceptuje teorię naukową: ludzie ewoluowali z mniej zaawansowanych form życia w ciągu milionów lat bez udziału Boga. 34 proc. łączy obie koncepcje: ludzie ewoluowali, Bóg kierował. Te dane są oczywiście nieco niepokojące, wzięwszy pod uwagę, że Ameryka ma ambicje przewodzenia światu – ale jest też i światło w tunelu: liczba kreacjonistycznych ultrasów jest najmniejsza od 1982 r., kiedy Gallup zaczął to badać pod wpływem wymierzonej w rozum kontrrewolucji Reagana. Z kolei grupa uznających naukę jest historycznie najwyższa; startowała z poziomu 10 proc. i stale rośnie.

4. Przed sądem w Brisbane w Australii trwa proces Jasona i Kerrie Struhs oraz 12 innych członków chrześcijańskiej sekty nazywającej się „Świętymi”. Jason i Kerrie to rodzice ośmioletniej Elizabeth, która zmarła 7 stycznia 2022 r. po tym, jak nie podano jej insuliny, bo jej cukrzyca odstawiła dziecko leki; w 2019 r. Elizabeth zapadła w śpiączkę i trafiła na miesiąc do szpitala. Wtedy udało się ją uratować; tym razem dziewczynka zmarła po sześciu dniach, które spędziła na materacu na podłodze, otoczona klejącymi pacierzami fanatykami. Brendan Luke Stevens, guru sekty, został nagrany przez tzw. nasobną kamerę policyjną, jak mówi do funkcjonariusza: „dziecko tam ciągle leży i nie wstało z martwych”. Był tym wyraźnie zdziwiony.

5. Robin Bullock, twórca własnego wyznania o ambitnej nazwie Kościół Międzynarodowy, miał objawienie, o którym opowiedział wiernym. A było to tak: „Siedziałem sobie jak gdyby nigdy nic i nagle kątem oka zauważyłem, że coś się rusza. Odwróciłem się i zobaczyłem takie owalne coś, jakby z wody. Takie wodniste. I widzę to: nie jak we śnie, tak, jak was teraz widzę. I patrzę, a tam w głębi coś jest. I pojawił się malutki człowieczek, o taki, o taki, ale potem zaczął się zbliżać i stawał się coraz większy i większy, aż wreszcie wyszedł z tego portalu wodnego i okazało się, że jest wyższy ode mnie. I to był Jezus. Mogę wam opowiedzieć, co miał na sobie, jakie miał włosy, dokładnie, jak wyglądał”. Niestety, nie opowiedział. Ale jesteśmy gotowi się założyć, że miał błękitne oczy, blond loki, jasną cerę i bardzo aryjski profil.

Obbligatoryjne podwiązywanie jajowodów w młodości ratowałoby wielu kobietom życie i zdrowie oraz uwalniało od pokusy aborcji.

Porodowe radości

Aż dziwne, że gatunek ludzki trwa. Wszak od zarania hominidów każde zajście w ciążę stawało się wyrokiem śmierci dla co czwartej, piątej samicy. Dlatego niechęć do macierzyństwa nie tylko nie powinna dziwić, ale wręcz przeciwnie. To na apologetki rodzenia powinniśmy patrzeć jak na zupełne kuriozum.

Co wypada młodej matce?

W średniowieczu dla wielu facetów sposobem dojścia do majątku było pozbycie się małżonki poprzez zapłodnienie jej. Na dworach królewskich i magnackich przede wszystkim. Księżne i królowe padały przy porodach jak muchy. Owdowiali panowie mogli żenić się z kolejną, jeszcze bogatszą panną. Dla wielu kobiet jedyną szansą na życie stawały się śluby czystości.

Niegdyś medycyna nie radziła sobie z najbanalniejszymi dziś problemami. Według wykopanych w archiwum warszawskiego szpitala Dzieciątka Jezus danych,

To, co ją dopadło, to obniżenie narządów rodnych, a właściwie wypadnięcie macicy, czyli prosta konsekwencja wydania na świat nowego życia. Małeństwo, wychodząc, rozciągnęło mięśnie podtrzymujące pochwę, odbytnicę i pęcherz moczowy. Przy łucie szczęścia mogło dojść tylko do wysunięcia się macicy na zewnątrz. Jeśli szczęścia braknie, u mamy dojdzie do wycisnienia pochwy, czyli wywinienia się jej na lewą stronę. No i zwisania po zdjęciu majtek.

Cud narodzin przynosi czasem, wraz z potomstwem, stan, w którym na zewnątrz wypada ściana odbytnicy w swej pełnej grubości. Jeśli jednak młoda mamusia jest fuksiarą, to wypadanie odbytu

może się spowodować wyłącznie do sytuacji, gdy wypadnięciu ulega jedynie błona śluzowa anusa. Nie ma się jednak co martwić. Odcinek wypadniętej błony zwykle nie przekracza 3-4 cm, zaś jej fałdy układają się promieniście wokół otworu odbytu. Jak wypadnie cała odbytnica,

to zwis jest znacznie dłuższy. No i ma charakterystyczny, okrężny układ fałd. Bogactwo doznań wizualnych związanych z tym efektem porodu jest niezmierzzone, bo bywa, że wycisniona błona śluzowa ma postać miękkiej, obrzękniętej, czerwono-sinej, bezkształtnej masy lub guza. Jeżeli zaabsorbowana macierzyństwem pani nie znajdzie czasu na odwiedzenie lekarza, to istnieje szansa, że taki efekt pozostanie jej na stałe.

Radość z urodzenia dziecka mąci również poporodowe uszkodzenia mięśni zwieraczy. Według różnych statystyk częstość występowania tych uszkodzeń wynosi od 2 do 14 proc. To oznacza, że część pań przypląca poród tym, że bezwiednie robi pod siebie kupę. Nie zawsze jednak. Około 35-58 proc. rodzących po raz pierwszy, mimo uszkodzenia zwieraczy, ma prawidłowe trzymanie stolca.

Urazem okołoporodowym dość często towarzyszącym młodym mamom są przetoki odbytniczo-pochwowe. Robienie kupy waginą może wystąpić jeszcze na sali lub po 7-10 dniach. Leczenie przetok przeprowadza się operacyjne w kilka miesięcy po rozwiązaniu. A w tym czasie pochwa nieszczęśliwie różni się od anusa.

Poporodowa szczelina odbytu to z kolei uraz, który powstaje w trakcie drugiej fazy porodu i jest długim, wąskim i płytkim pęknięciem błony śluzowej końcowego odcinka kanału odbytu. Na szczęście leczenie tej przypadłości nie przeszkadza w przewijaniu maleństwa. Zdarza się jednak, że konieczna staje się operacja, podczas której wykonuje się częściowe boczne przecięcie zwieracza wewnętrznego lub miejscowe wycięcie szczeliny. Na szczęście dla młodych mam, powikłania pooperacyjne to ledwie przejściowe nietrzymanie stolca, a przede wszystkim nietrzymanie gazów.

Życiodajne parcie, dzięki któremu dziecko wychodzi z łona matki, nie pozostaje bez wpływu na jej organizm. Sprowadza bowiem nań przypadłość noszącą nazwę hemoro-

idów. Przyjemność obcowania z żyłakami odbytu dzięki leczeniu nie przekracza sześciu tygodni.

Najluźniejsza mama na świecie

Nietrzymanie moczu to dolegliwość dość często będąca następstwem porodu. Medycy winą za to obarczają rozluźnienie odpowiadających za zamykanie cewki moczowej mięśni dna miednicy. W porównaniu z brakiem kontroli nad odbytem schorzenie to należy uznać za zupełnie niegroźne. Młoda mama może dzięki niemu lepiej zrozumieć, co czuje jej dzieciątko, gdy ma mokrą pieluszkę.

Po urodzeniu mnóstwo mam zaczyna odczuwać ból podbrzusza o charakterze skurczu. Większość tych dolegliwości to fizjologia mająca na celu obkurczenie rozciągniętej w czasie ciąży macicy. Ale bóle takie są też oznaką niedrożności przewodu pokarmowego czy wręcz krwotoku wewnętrznego, dzięki któremu przenoszą się do szpitalnego prosektorium.

Po wydaleniu dziecka u części rodzących pojawia się obfita wydzielina pochwowa o intensywnym, przykrym zapachu z towarzyszącym bólem mięśni macicy o charakterze skurczu, a także z gorączką. Jak medycy dostrzegą to za późno i na dodatek nie dobrać właściwego antybiotyku, to dziecko opuści szpital samo. Po mamusię przyjedzie zaś zakład pogrzebowy.

Więcej szczęścia mają świeżo upieczone mamy, które dopada stan zapalny gruczołu piersiowego jedno- lub obustronny. Związany jest z zatkaniem przewodów mlecznych albo wskutek mikropęknięć brodawek sutkowych, które stają się wrotami do infekcji. Medycy powinni to obczaić, bo cierpiąca na to pani w połogu ma „większą tkliwość podczas próby palpacji”, czasami zaś wyciek „patologicznej treści z brodawek sutkowych”. Jak któraś jednak ma pecha, to taki stan przeradza się w ropnia piersi i trzeba się do niego dobrać skalpelem.

Nieco inaczej rzecz się ma z poporodową luźną pochwą. Seksuologowie doradzają w takiej sytuacji, by panie z „luzami” uprawiały seks z partnerem w pozycjach bocznych lub tylnych, które zwiększają spektrum doznań partnera. Temu, by nie czuł on luzu, sprzyjają też pozycje, w których partnerka ma nogi razem, a nie rozłożone. To także ponoć ułatwia kobiecie zaciskanie mięśni na penisie partnera. Dzięki stosowaniu odpowiednich pozycji jakość seksu par, w których pani jest nieco luźniejsza, może się znacząco poprawić. Z reguły jednak się nie poprawia i trzeba wywalić kilka tysięcy na przeprowadzenie w gabinecie ginekologii estetycznej zabiegu waginoplastyki, który zwięzi pochwę do parametrów odczuwalnych przez faceta.

Wraz z wydaniem na świat potomstwa kobiety dostrzegają u siebie zmiany, na które wcześniej nie zwracały uwagi. Widzą posiekane rozstępami uda i pośladki. Ich uwagę przykuwa skóra brzucha, która sięga ud i za cholerę nie ma ochoty się skurczyć. Tak samo jak sięgające pępka piersi. Wszystko to powoduje w nich ujemny wzrost pewności siebie, co z kolei przekłada się na wyznaczenie sobie w życiu tylko jednego celu, czyli bycia na Facebooku najlepszą mamusią na świecie.

Zupełne wariactwo

Jeśli tego nie robią, grozi im depresja poporodowa, czyli rodzaj zaburzenia psychicznego, które dotyka nawet 20 proc. kobiet po urodzeniu dziecka. Jej objawy są takie same jak depresji występującej niezależnie od ciąży. Zdesperowane młode matki czują, że nie są dobrymi matkami, choć nie ma ku temu powodów. Obsesyjnie zamartwiają się zdrowiem dziecka lub nie czują z nim żadnej emocjonalnej więzi. No i wymagają antydepresantów.

Gorzej, gdy depresja przerodzi się w coś znacznie gorszego. W psychozę poporodową. Jej objawy, to: nielogiczne, nieuporządkowane i natrętne myśli, bezsenność, brak apetytu, okresy manii, halucynacje, myśli samobójcze i zabójcze. Taki stan wymaga leczenia psychiatrycznego. I to niejednokrotnie zamkniętego.

Onkologowie zaklinają się, że uraz mechaniczny w czasie porodu skutkować może rakiem szyjki macicy. Niestety, Polki mające małe dziecko niechętnie wykonują cytologię. Aż 60 proc. kobiet ze zdiagnozowanym rakiem szyjki macicy nigdy nie poddało się cytologii – nic więc dziwnego, że nasz kraj zajmuje niechlubne pierwsze miejsce wśród europejskich państw o najwyższym wskaźniku zachorowalności na ten nowotwór. A co roku kilka tysięcy dzieci staje się z tego powodu półsierotkami.

Lekarze od nowotworów zwracają też uwagę na fakt, że normalnie organizm wymienia wszystkie komórki co siedem lat. Albo w czasie ciąży. Wymiana komórek wiąże się z tym, że któraś nowa może być fełerna i to nowotworowo. Dlatego dla onkologa każda ciąża to kanцерogen zwiększający szanse na zapadnięcie na raka.

Po porodzie nader często położnica ma obrzęki. Dla medyków powinien być to objaw gromadzenia się nadmiernej ilości wody w organizmie, czyli pierwszy symptom stanu przedrzucawkowego. Poza obrzękiem kończyn mogą pojawić się opuchnięcia innych części ciała, w tym nawet twarzy. Dodatkowo nudności, wymioty, a w dalszej kolejności bóle głowy i zawroty głowy. Taka sytuacja wymaga natychmiastowej interwencji i jak w tym czasie personel medyczny będzie miał inne zajęcia, to noworodek nie będzie miał mamusi.

Żeby jednak poznać uroki urazów proktologicznych, nie trzymać moczu czy walczyć z rakiem, trzeba poród przeżyć. To nie zawsze musi się udać. Wystarczy, by rodzącą dopadła rzucawka poporodowa. Choroba, której co trzeci przypadek ujawnia się dopiero w czasie akcji porodowej. Objawia się to drgawkami podobnymi jak w napadzie padaczki. Kończy – utratą przytomności. W łagodnej postaci kobieta po chwili odzyskuje świadomość lub przechodzi w fazę śpiączki, z której można ją wybudzić po kilku minutach. W cięższych przypadkach po śpiączce pojawiają się objawy innej formy ataku konwulsyjnego. Dochodzi do uszkodzenia nerek, wątroby, siatkówki oka, a nawet mózgu. Ryzyko śmierci matki w wyniku rzucawki jest bardzo wysokie i sięga 10 proc.

Poporodowej sepsy – czyli zakażenia wielonarządowego – nie przeżywa co trzecia chora. Badania wykazały, że atakuje ona 1,8 rodzących na 1000. Wyższy poziom ryzyka notuje się u kobiet rodzących swoje wymarzone pierwsze dziecko.

Jeśli jednak kobieta to wszystko przeżyje, to czeka ją kilka miesięcy urlopu macierzyńskiego, babciowe, 800 plus, usrane pampersy, konieczność podcierania tyłka przez parę lat, nieprzespane noce, utrata znajomych i problemy w pracy spowodowane koniecznością brania ciągłych zwolnień na dziecko.

Gdyby więc zrobić bilans ryzyk i korzyści z bycia matką, to wynik będzie jednoznaczny. Dokładnie taki jaki widać w lecących na pysk statystykach demograficznych.

Już wkrótce źle postrzegane nie będą kobiety bezdzietne, ale te, którym wmówiono, że ryzykowanie życiem, by urodzić i wychować potencjalnego narkomana czy wyborcę Konfederacji, ma jakiś głębszy sens.

TOMASZ BOROWIECKI

między 1772 a 1786 rokiem było tam 23 tys. porodów. Co czwarta matka zmarła. Do XIX w. ciąża i poród były najczęstszą przyczyną śmierci wśród młodych kobiet.

Chwilowa pisowska ministra zdrowia Katarzyna Sójka nie kłamała zatem, mówiąc, że „kobiety niestety umierają i umierać będą”. Choć skala się zmienia. Z danych GUS wynika, że w 2021 r. zmarło osiem kobiet w ciąży i połogu, rok wcześniej było dziewięć takich przypadków, a w 2019 r. – cztery.

Eksperci uważają jednak, że faktycznie zgonów jest nawet trzy razy więcej niż podaje GUS. Konsultant krajowy ds. ginekologii i położnictwa poprosił o dane na ten temat konsultantów wojewódzkich. Z zebranych informacji wyszło mu, że w 2021 r. zmarło 26 kobiet.

W przypadku porodu nie jest jednak jak w „Warszawiance”, gdzie kto umiera wolny już, zaś ci, co przeżyją, wolni będą. Zdarza się, że wraz z dumą spowodowaną urodzeniem przed chwilą dziecka, młoda mama zaczyna czuć ciągły ucisk, ból w dole brzucha i okolicy krzyża. Po chwili pojawiają się stany zapalne i infekcja dróg moczowych.

ILUSTRACJA: PAVEL FERENC



REKLAMA

Wojna z Dudą o ambasadorów

Kamala Harris
Ostra i ofensywna

Polscy kierowcy
Głupota podgrzewana słońcem

Jacek Pańkiewicz
Pustynia Atakama

tygodnikprzeгляд.pl

Przeгляд

Wojna z Dudą o ambasadorów

Kamala Harris
Ostra i ofensywna

Polscy kierowcy
Głupota podgrzewana słońcem

Jacek Pańkiewicz
Pustynia Atakama

Kto odpowiada za śmierć 200 tysięcy cywilów

80.
ROZDZIAŁ
POWSTANIA
WARSZAWSKIEGO

Paryż wart ceremonii

Czy jest sens wracania do uroczystości otwarcia paryskich igrzysk? Jest, bo niespodziewanie stała się ona tematem zażartych dyskusji politycznych.

Chyba tylko w Polsce z kolorowego, fantastycznego i pomysłowego spektaklu, przebiegającego pod hasłem „Jedność w różnorodności” można wyciągać daleko idące polityczne wnioski. Nie jestem fanem różnych widowisk kulturalnych organizowanych z okazji zawodów sportowych. Wszelkie uroczyste otwarcia i zamknięcia imprez staram się opuszczać. Zastanawiałem się nawet, czy nie wynika to z mojego wieku i dlatego nie trafia do mnie współczesny muzyczny przekaz, podobnie jak moi rodzice nie mogli zrozumieć, co widzę świetnego w bigbie. Ale – nie. Mam znajomych mocno usadowionych w wysokiej kulturze (kto zabroni dziennikarzowi sportowemu takich znajomości?), którzy reagują podobnie. Cóż, zazwyczaj występy towarzyszące imprezom sportowym są po prostu szmira.

Realizowany jest podobny scenariusz. Jakaś światowa gwiazda albo kilka, grupa tancerzy wykonujących mniej lub bardziej skomplikowane układy i wreszcie można kopać piłkę, albo robić coś innego, co chcą oglądać kibice z trybun i po co tak naprawdę przyszli.

Ogień w balonie

Oczywiście igrzyska olimpijskie to coś innego. Od kiedy sięgam pamięcią, organizatorzy starali się czymś zaskoczyć widzów; tu jedna gwiazda estrady – choćby o światowej renomie – nie wystarczy. W tradycyjnym olimpijskim rytuał – defilada, wciąganie flagi na maszt, przemówienie oficjeli, ślubowanie, zapalenie znicza – starano się wpleść coś swojego, narodowego i niespodziewanego. Prawdę mówiąc, szczegóły tych ceremonii zatarły mi się w pamięci, bo całość od wspomnianej szmiry daleko nie potrafiła uciec.

W największym napięciu oczekiwano tylko momentu zapalenia ognia olimpijskiego. Kto dostąpi tego zaszczytu? W jaki sposób ogień powędruje do znicza? Czy zapali się go tradycyjnie od pochodni, czy trafi w niego płonąca strzała wypuszczona z łuku, a może powędruje on jakąś ognistą ścieżką, by rozbłysnąć w wysoko umieszczonym nad stadionem zniczu? Oczywiście ten szczegół ceremonii trzymany był zawsze w ścisłej tajemnicy, inaczej nie byłoby elementu zaskoczenia.

Organizatorzy zawodów Paryż 2024 zastosowali fortel. Z różnych przecieków dowiedzieć się można było, że zapalony w greckiej Olimpii ogień zaplonie na czubku Wieży Eiffla. Nic z tego. Nikt nie wpadł na pomysł, że będzie to gondola balonu wiszącego nad stolicą Francji.

Następne igrzyska odbędą się w Los Angeles, jeśli ich organizatorzy zechcą przebić pomysłowością Francuzów, wysłać chyba będą musieli płomień raketą SpaceX na Księżyc, a może nawet na Marsa.

Krótko i niewyraźnie

Czytelnicy tej rubryki mogli zauważyć, że jestem wielkim kibicem żużla. Ponieważ w tym samym czasie, w którym transmitowano ceremonię otwarcia igrzysk, odbywały się dwa mecze Ekstraligi, postanowiłem, że obejrzę je, a do Paryża „przeskakiwać” będę pilotem telewizora w czasie, gdy odbywać się będzie rwanie toru. Jaki byłbym głupi! To, co pokazali organizatorzy paryskich igrzysk, było tak fascynujące, że trzymało przed ekranem w napięciu, choć wszystko trwało blisko cztery godziny (nawet nie patrzyłem na zegarek).

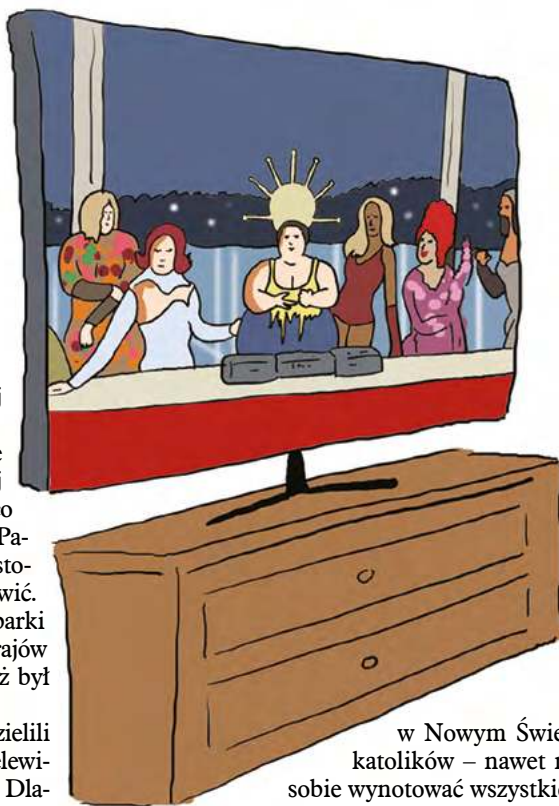
Nie będę opowiadał o przebiegu uroczystości. Po pierwsze – kto chciał, ten zobaczył. Po drugie – kto zachęcony recenzjami obejrzał sobie na którymś z kanałów powtórkę, też nie jest zainteresowany moją relacją. Po trzecie wreszcie – proszę nie wymagać od prostego dziennikarza sportowego, żeby znalazł właściwe słowa do opisanie czegoś, co było artystycznym wydarzeniem na najwyższym poziomie.

Trzeba się było kiedyś pilnie uczyć sztuki pięknego pisania.

Dość powiedzieć, że w pokazie znalazło się – i to w wyrafinowanej artystycznej formie – wszystko, co kojarzy się z Francją, a szczególnie z Paryżem. Nawiązań do sportu było stosunkowo niewiele, nie ma się co dziwić. Przez cały czas Sekwaną płynęły barki z olimpijczykami ze wszystkich krajów uczestniczących w imprezie. I tu już był pierwszy polityczny zgrzyt.

Dlaczego barkę, którą Polacy dzielili z reprezentacjami Filipin i Peru, telewizyjny realizator pokazał tak krótko? Dlaczego obraz był niewyraźny? Te żabojały najwyraźniej nas nie lubią. Nie wiem, czy Polaków pokazywano krótko, nie patrzyłem na zegarek, z pewnością różny był czas przekazów różnych barek, a było ich 94, bo wciąż odbywały się na brzegu wydarzenia artystyczne i różne pokazy. Niewyraźny obraz też łatwo wytłumaczyć. Przecież padał deszcz i kropla wody mogła kapnąć na kamerę.

Naszych patriotów nie uspokoił fakt, że wśród wspaniałych światowych gwiazd, znalazł się Polak, śpiewak operowy Jakub Orliński. Ten młody człowiek występował już na największych scenach świata, m.in. w Carnegie Hall w Nowym Jorku; teraz jest olimpijczykiem. Jego występ nie był do końca udany. Śpiewał cudownie, ale w założeniu całość miała być połączona z elementami breakingu, bo uprawia – nawet z pewnymi



w Nowym Świecie), atak na katolików – nawet nie zdążyłem sobie wynotować wszystkich słów, jakimi strzelała niczym z karabinka Grot, oczywiście naszej narodowej polskiej produkcji. Dlatego nie jestem pewien, czy się przesłyszałem, ale chyba wspominała coś o pedofilii. O cywilizacji śmierci – na pewno.

Reasumując, coś, co wydawało mi się cudownym, barwnym widowiskiem i o czym w zachwytach rozpisuje się prasa na całym świecie, okazało się, w ustach komentatorów TV Republika niczym innym jak podłym atakiem na katolicyzm.

TV Republika nie była sama. Komentator TVP z ceremonii otwarcia igrzysk Przemysław Babiarz przyczepił się do piosenki Johna Lennona „Imagine”, przepięknie odśpiewanej na sztucznej wyspie pośrodku Sekwany przez Juliette Armanet z akompaniamentem Sofiana Pamarta na fortepianie. „Wyobraź sobie, że nie ma już religii, nie ma już kraju, nie ma już polityki” – zacytował Babiarz słowa piosenki, która stała się dla mojego pokolenia symbolem pokoju. Symbolem tak ważnym zwłaszcza w chwili, gdy tuż za naszą granicą giną ludzie, zabijani spadającymi raketami i bombami. „To jest wizja komunizmu, niestety” – kontynuował mędek z TVP.

To nie pierwszy raz, gdy Babiarz komentował w ten sposób słowa piosenki Lennona, nieoficjalnego hymnu igrzysk olimpijskich. Na podobny komentarz zdobył się podczas igrzysk w Pekinie. Spotkało się to z pochwałami ze strony działaczy PiS: „Ważne i odważne słowa Przemysława Babiarza” – pisali w mediach społecznościowych. „Brawo Panie Redaktorze” – na takie słowa zdobył się Przemysław Czarnek. Kto teraz pochwali Babiarza? Na pewno nie Zbigniew Boniek. „Babiarza już nikt nie pobije” – napisał na portalu X.

Tym razem TVP zawiesiła jednak Babiarza w wykonywaniu obowiązków, na razie więc nie będzie komentował igrzysk w Paryżu. Zareagował na to pisowski szef Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji Maciej Świrski, który zapowiedział wszczęcie postępowania wyjaśniającego, czy nie zostało naruszone prawo do wolności wypowiedzi komentatora.

Warszawa 2036

Nie jest tajemnicą, że rządzącemu do niedawna pisowskiemu bractwu marzyły się igrzyska olimpijskie w Warszawie. Prezydent Andrzej Duda zapowiedział nawet ich datę. Miałyby się odbyć w 2036 r., w każdym razie o taki termin złożyłyby polskie władze wnioszek i już nawet poczyniono w tym kierunku pierwsze kroki. Nawiązano kontakty z MKOl, a prezesem polskiego komitetu uczyniono Radosława Piesiewicza, bliskiego kumpla Jacka Sasina. Osoba Jacka Sasina nie jest tu bez znaczenia, bowiem to człowiek znany z nietuzinkowych zdolności organizatorskich i zapewne jemu przypadłaby funkcja dyrektora imprezy, gdyby w ostatnich wyborach parlamentarnych ogół rodaków zagłosował inaczej, niż zagłosował.

Nie tylko polskie kato-prawactwo trzęsie się z oburzenia z powodu performansu drag queen podczas ceremonii. Z bólu zawyla cała kato-prawacka Europa z episkopatem Francji na czele. Właściwie nie wiadomo, dlaczego dopatruje się w tym złośliwej parodii „Ostatniej Wieczery” Leonarda da Vinci, bo organizatorzy zapewniają, że chodziło o przedstawienie dionizyjskiej uczty. Francuscy biskupi niepotrzebnie podnoszą larum, że to „kpinny i sztyrderstwa z chrześcijaństwa”. Jeżeli nawet coś tu sparodiowano, to przecie nie od razu całe chrześcijaństwo, tylko obraz nieżywego od przeszło połowy tysiąclecia artysty, geja. Nooo, chyba że ojcowie francuskiego Kościoła bronią Leonarda w geście środowiskowej solidarności. Ale to wtedy nie powinni się zżymać na drag queenki, bo większość z nich to też geje – wszystko wtedy zostaje w jednej wielkiej elgiebetowskiej rodzinie. Szczególnie że biskupów z drag queenami łączy jeszcze coś: i jedni, i drudzy na potrzeby publicznych występów zakładają kiczowate kiecki.

EDYTA BAKER

sukcesami – tę nową dyscyplinę sportową, ale tu także deszcz wszedł w paradę. Na mokrej scenie nie dało się wykonywać różnych ewolucji, skupił się więc na artystycznych ruchach rąk. Ktoś, kto nie wiedział, że ma do czynienia nie tylko z artystą operowym, ale także z młodym człowiekiem od 19. roku życia ćwiczącym taniec uliczny, mógł niczego nie zauważyć.

Sodomia, gomoria i komunizm

Krytykom ceremonii otwarcia nie chodziło jednak o Orlińskiego. Z ciekawości włączyłem TV Republika. A tam po prostu kipieli z wściekłości. Parodia „Ostatniej Wieczery”, w której uczestniczyli drag queens, śpiew – jak określono – baby z wąsami, krótko mówiąc: Sodoma i Gomora. Posłanka Joanna Borowiak z PiS o mało nie wyskoczyła z ekranu: zabijanie kultury łacińskiej (jakby kultura łacińska nie zabiła wielu innych kultur

Śmieszyło mnie, że dokładnie rozpisano gdzie, jaka konkurencja warszawskich igrzysk miałaby być rozgrywana, a na miejsce wioski olimpijskiej wyznaczono tereny po zburzonym lotnisku Chopina. Oczami wyobraźni widziałem już działający CPK przyjmujący miliony kibiców z całego świata. Po schludnych pasach startowych warszawskiego lotniska, przemienionych na promenadę w wiosce olimpijskiej, przechadzałaby się tymczasem kolorowo ubrani olimpijczycy różnych narodowości, różnego koloru skóry i różnych wyznań. Jeśli chodzi o to ostatnie, zdziwić mogło niewybranie z czasami lokalizacji dla kaplicy rzymsko-katolickiej. Być może jednak wybrano, ale ten szczegół utajniono, a może uznano, że wystarczy szybkie połączenie autobusowe z Okęcia do Świątyni Opatrzności Bożej na Ursynowie; w końcu z Okęcia nie jest tam daleko. Tego już się nie dowiem.

Cepeliada i Judasz Tusk

Mamy świeżo w pamięci ceremonię otwarcia Igrzysk XXXIII Olimpiady w Paryżu. Czym mogliby zaskoczyć światowych widzów polscy organizatorzy? Na pewno nie zaproszono by Lady Gagi. My mamy Zenka Martyniuka. Jacek Kurski z pewnością przekonałby Jarosława Kaczyńskiego, że wykonawca ponadczasowego przeboju „Przez twe oczy zielone” gwarantuje wyższy poziom artystyczny niż amerykańska wokalistka włoskiego pochodzenia, tym bardziej, że Lady Gaga jest znaną propagatorką ruchu na rzecz osób LGBT. Już ten fakt ją dyskwalifikuje.

Problem gwiazdy mamy więc z głowy. Teraz trzeba by się zająć chórkami i tancerzami. Z tym także nie powinno być kłopotu. W tej roli mogłyby wystąpić członkinie kół gospodyń wiejskich, które wybijałyby rytym na garnkach podarowanych im podczas kampanii wyborczej kandydatów Suwerennej (d. Solidarnej) Polski. Tu organizatorzy igrzysk olimpijskich mogliby liczyć na wsparcie polityków PSL, którzy rywalizują z PiS o przychylność wiejskiego elektoratu.

Oczywiście nie do pomyślenia byłoby przedstawianie podczas ceremonii malowidła ściennego „Ostatnia Wieczera” Leonarda da Vinci z udziałem groteskowych przebierańców. Po środku stołu siedziałaby poważna postać ojca Tadeusza Rydzyskiego uosabiającego samego Jezusa Chrystusa, za którego zresztą sam się uważa. Jeśli chodzi o Judasza, choreograf nie mógłby pokpić sprawy. Przedstawiałby go aktor ucharakteryzowany na Donalda Tuska; ten oczywiście skrywałby wstydliwie sakiewkę z monetami euro pochodzącymi z Deutsche Banku, co można by podkreślić stosownym napisem na wspomnianej sakiewce. Twarz Tuska wyrażałaby chciwość i chytrych, co dobry reżyser potrafiłby wyeksponować.

Gdzieś w tym wszystkim należałoby umieścić żołnierzy w kłędach, ale Boże broń nie w roli rzymskich żołdaków, którzy przyszli aresztować Zbawiciela.

Po napisaniu tych słów uświadomiłem sobie, jakim jesteśmy zaściankami, jak daleko nam do europejskiej otwartości i jaką długą drogę mamy przed sobą.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,
Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,
Edyta Baker – sekretarz redakcji,
Agnieszka Wolk-Laniewska – redaktor prowadzący,
Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Robert Jaruga,
Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska,
Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski,
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP.

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.
INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:
NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i źródła wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: str. 1–16 – 31.07.2024 r.

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Redaktor Przemysław Babiarz o:

● „Imagine” Johna Lennona: „Świat bez nieba, narodów, religii – i to jest wizja tego pokoju, który wszystkich ma ogarnąć. To jest wizja komunizmu, niestety”.

● „Schodach do nieba” Led Zeppelin: Jak można kupić schody do nieba? Do nieba można pójść albo nie pójść i na pewno nie po chodach, niestety.

● instalacji „Fontanna” Marcela Duchampa: Pisuar nie był, nie jest i nigdy nie będzie rzeźbą, dziełem sztuki. Będzie pisuarem, niestety.

● ciągu Fibonacciego: Liczby w ogóle służą do otumaniania dobrych ludzi, a liczby określane rekunkurencyjnie są po prostu narzędziem szatana, niestety.

● „Ostatniej wieczery” Salvadora Dalego: Kto? Dali? Niech on sobie maluje oklapnięte zegarki, a od wieczery i od ostatnich mu wara! Niestety.

● teorii względności: Wiadomo, kim był Einstein. Wiadomo, czym jest jego mechanika. Zresztą Newton nie był wcale lepszy, był masonem, niestety.

● „Ulissesie” Jamesa Joyce’a: Osiemset stron o niczym. No bo o czym? O wszystkim, czyli o niczym. Porządne książki to pisała na przykład Zofia Kosak-Szczucka, a nie Joyce, niestety.

● dodekafonii: Muzyka to jest „Boże, coś Polskę”, a nie jakieś tuczenie w klawiszach i walenie w talerze. A ten Schönberg to był prawdziwym Austriakiem? Bo chyba nie był, niestety.

● bozonie Higgsa: Kwarty, a nie kwanty, skwarki, a nie kwarki, bizony, a nie bozony, batony, a nie leptony, tapczany, a nie protony. Fizyka nie jest teologią, niestety.

● kaplicy Notre-Dame-du-Haut de Ronchamp: Krzywe toto, nieforemne, w ogóle nie wygląda jak kościół. Kto zaprojektował? Le Corbusier? Niestety.

● hipotezie Poincarégo: Jednostopna rozmaitość topologiczna to mydlenie oczu. Niech żyje Euklides! Są trzy wymiary, a nie cztery, niestety.

● zaburzeniach afektywnych dwubiegunowych: Nie żadna choroba, tylko czary. Czarna magia. Wiedźmy, wróżki, Baby-Jagi, sekutnice, ksantypy. Zwyczajnie na stos, niestety.

● rzucie młotem: To taka dyscyplina, że rzuca się kulą na linie. Im dalej, tym lepiej. Rekord świata kobiet: 82,98 Anity Włodarczyk, bravo! Mężczyzn: 86,74 Jurija Sjedycha ze Związku Radzieckiego, niestety.

Wybrał
PRZEMYSŁAW ÓWIKLIŃSKI

Dialogi dam,

z których obie żyją



JOANNA SENYSZYN jest w Brukseli, ale za własne, nie jak Biedroń ze Śmiszkiem za 250 euro dziennie na łeb płatne przez PE. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** pojechała do Trójmiasta. Znowu się minęły.

Wołk-Łaniewska: – A tak chciałam zobaczyć słynny profesorski ogród, którego pielęgnacja wymaga maczety.

Senyszyn: – A maczetę kupiłaś?

– O cholera, zapomniałam.

– No widzisz? To po diabła mi taki gość?

– A po diabła mi maczeta, skoro ciebie i tak nie ma w domu?

– Ale będę w przyszłym tygodniu...

– W przyszłym tygodniu to mnie nie będzie. Tak to ludzie trwonią lata – mówi poeta...

– A propos poezji, sejm uchwalił tzw. rentę wdowią.

– A gdzie tu poezja?

– Cierpliwości. Jak tylko prezydent podpisze, słynne słowa z Pieśni III Horacego „Nie wszystek umrę” będą się kojarzyły już nie tylko z poetami, ale i z współmałżonkami seniorów.

– Zwłaszcza tymi bogatymi.

– Otóż właśnie nie. Cała idea renty wdowią jest taka, żeby wdowa nie wpadała po śmierci męża w ubóstwo, a więc aby do traumy po śmierci bliskiej osoby nie dochodziła trauma związana z pojawiającą się nagle biedą. Wdowa lub wdowiec, bo renta naturalnie będzie przysługiwała też wdowcom, ale znacznie rzadziej, bo mężczyźni żyją średnio o ponad siedem lat krócej niż kobiety.

– Dlatego ponoć należy mieć młodszego faceta. Tylko mnie jakoś nie kręca...

– Ja tu nie o twoich preferencjach seksualnych, tylko o systemie emerytalnym chciałam mówić. Dotychczas po śmierci męża lub żony można było sobie wybrać zamiast własnej emerytury 85 proc. świadczenia zmarłego.

– A ponieważ mężczyźni mieli z zasady radykalnie wyższe emerytury, to kobitom i tak się opłacało, nawet po okrojeniu o 15 proc.

– Dokładnie. Teraz to miało się zmienić: tak, żeby można było dostawać całe wyższe i pół niższego świadczenia. Obywatelski projekt ustawy o rencie wdowią trafił do sejmu wiosną 2023 r., ale nie doczekał się procedowania.

– Popatrz, a prezes obiecywał, że każdy projekt obywatelski będzie rozpatrywany. Tak tłu-

maczył, dlaczego zagłosował przeciwko uwale-niu „Ratujmy kobiety” w pierwszym czytaniu w 2017 r.: z szacunku dla obywateli.

– To był szacunek wyborczy. W 2023 r. PiS nie był zainteresowany poprawą bytu emerytów i rencistów, gdyż kaczyści uważali, że i tak będą mieć ich głosy w jesiennych wyborach. Niewykluczone, że to zaniechanie przyczyniło się do zwycięstwa koalicji 15 października, która nie wyciągnęła



z tego należytych wniosków. Wprawdzie nowy sejm błyskawicznie wziął projekt na tapet, ale Tuskiowy rząd przetrzymał go pięć miesięcy, bo ministrowie byli bardziej zainteresowani wyborami europejskimi niż swoją robotą. W końcu, niepomni doświadczenia z podniesieniem wieku emerytalnego, okroili projekt obywatelski, bo bardziej się bali gniewu Tuska niż gniewu 8 mln emerytów i rencistów.

– To nie emeryci i renciści decydują, kto jest ministrem, a kto dostaje kopa do Brukseli.

– I dlatego właśnie zamiast 50 proc. renta wdowią będzie wynosiła najpierw 15 proc., a od

2027 r. – 25 proc. W dodatku – łączne świadczenie nie może przekraczać trzykrotnej minimalnej emerytury, a nie – jak chciało 200 tys. obywateli podpisanych pod projektem – trzykrotnej przeciętnej emerytury.

– A to ile?

– Trzykrotna minimalna to dziś 5343 zł brutto; trzykrotna średnia – 10 551 zł brutto.

– To wiesz co? To ja akurat jestem za tym niższym progiem. Dopóki najniższa emerytura wynosi 1781 złotych, nie widzę powodu, żeby państwo jednym emerytom kopsało 10 kafi dla ochrony przed ubóstwem, a innym kazało grzebać w śmietnikach. Moje poczucie sprawiedliwości jakoś się w tym miejscu buntuje.

– Nie łudź się. Rząd zmniejszył i spłaszczył świadczenie łączne, bo pożałował emerytom pieniędzy, a nie żeby była społeczna sprawiedliwość. Z renty wdowią nie skorzystają ani osoby LGBT, ani heterocy będący w związkach nieformalnych, ani życiowi single, jak ty. Takie wyłączenia to kolejny aspekt dyskryminacji osób nieheteronormatywnych oraz odrzucających tradycyjne małżeństwo, które już dawno przestało być „dopóki Bóg nie rozłączy” i co trzecie w Polsce, a co drugie w UE kończy się rozwodem.

– Zmieniając temat: o Kaliszu chciałam pogadać.

– Ryszardzie?

– Też. Ale najpierw o mieście Kalisz, w którym jest teatr im. Bogusławskiego. Pod twoją, nie wypominając, nieobecność byłam w Trójmieście na Festiwalu Szekspirowskim...

– Już się nie chwal, że taka kulturalna jesteś...

– A właśnie, że się pochwalę. W końcu, jak ktoś specjalnie przez pół Polski jedzie, żeby obejrzeć komedię z Kalisza i „Hamleta” po rumuńsku – to wykazuje daleko idące zaangażowanie w konsumpcję kultury wysokiej.

– „Hamleta” po rumuńsku, powiadasz.

– To akurat była kultura wysoka nieco niższych lotów. Za to Kalisz – absolutnie zachwycający. Chodzi o zrobiony przez Szymona Kaczmarka spektakl „Wszystko dobre, co się dobrze kończy” – co samo w sobie już jest zadziwiające, bo komedii Szekspira serdecznie nie znoszę. Zawsze byłam przekonana, że teoria marlowiańska musi być prawdziwa, bo to przecież niemożliwe, żeby najwybitniejsze dramaty w historii świata i te żalosne ramoty w rodzaju „Poskromienia złoŃnicy” napisał ten sam autor – więc jedne musiał pisać William Shakespeare, a drugie Christopher Marlowe.

– A który które?

– Tego jeszcze nie ustaliłam. W każdym razie: „Wszystko dobre, co się dobrze kończy”, którego nie znałam, jest niby komedią, ale zajełbiecie ponurą. W skrócie: jest o stalkerce z obsesją na punkcie faceta, który nie chce jej do tego stopnia, że ucieka na front. Front przypomina Ukrainę, ale wcale nie idealizuje walczących; pokazuje raczej wojnę jako uniwersalne zło i narzędzie demoralizacji, która dotyka zarówno stalkerkę, jak i obiekt jej pożądania, a także współpracujące z nią niewiasty – ofiary wojny – które pomagają jej tego nieszczęsnego chłopca wydymać. Dosłownie i w przenośni. Znakiem, prowokacyjny, świetnie zagrany spektakl. Z Kalisza...

– A skoro już jesteśmy przy Kaliszu...

– To chcę Ryškowi serdecznie pogratulować – i mówię to śmiertelnie poważnie i bez cienia ironii – że nie dał się zatupać i ogłosił szczerze, że kwity, które Państwowa Komisja Wyborcza dostała od prokuratury, są kiepskie i że prawo nie pozwala PKW zabrać PiS-owi subwencji, bo takie jest oczekiwanie nowej władzy i jej wyborców. Ja oczywiście, jako lewak z nożem w zębach, jestem wielką entuzjastką sprawiedliwości ludowej, ale ona się sprawdza tylko w czasach rewolucji. W czasach „odbudowy państwa prawa” wydaje się nieco niepokojąca.

– Nawet bardziej niż nieco.

senyszyn@wp.pl
wolkaniewska@wp.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 309



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI